Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 6,66 zł w tym 8% VAT NR 38 (1722) 22–28 września 2023

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

NIE

Zełenski: nie strasz!

str. 3

CZEKAJĄ NA WIZY

CZEKA NA DEWIZY

Ilust. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl ae127a61eb

SAŁATKA KAMPANIJNA

Tradycyjnie na początek garść sondaży. IBRiS dwa razy: dla Onetu i dla „Wydarzeń" Polsatu; United Surveys dla Wirtualnej Polski; Estymator dla „Do Rzeczy"; Social Changes dla Wpolityce.pl; CBOS dla siebie (a tak naprawdę dla władzy). PiS – od 32,6 do 39; Platforma Obywatelska – od 18 do 32; Konfederacja – od 7 do 11,4; Lewica – od 5 do 11,1; Trzecia Droga – od 4 do 10,6. CBOS znowu poszedł po bandzie i dał Zjednoczonej Prawicy równo dwa razy tyle co Koalicji Obywatelskiej: 36 do 18. Zdaniem CBOS wejdzie jeszcze tylko Konfederacja z wynikiem 7 proc.; Lewica z piątką jest na progu. Wyniki IBRiS-u dla Onetu i Polsatu są – co należy odnotować – relatywnie zbieżne: różnica nie przekracza 1 proc.

Platforma Obywatelska wygrała prawybory w Wieruszowie, zdobywając 34 proc. głosów. PiS było drugie z 32 proc.; dalej Trzecia Droga – 12 proc.; Konfederacja – 6,64 oraz Lewica – 6,35. Opozycyjne media ogłosiły, że Wieruszów to Polska w pigułce i wyniki są sensacyjne. W Wieruszowie jest 11 tys. uprawnionych, w prawyborach wzięło udział niespełna 20 proc., co oznacza, że w liczbach bezwzględnych wyniki prezentowały się następująco: PO – 719 głosów; PiS – 628; TD – 252, Konfederacja – 140; Nowa Lewica – 134. Może nieco za wcześnie na ogłaszanie triumfu.

Przebojem tygodnia – już nie pierwszego – była afera wizowa. Opozycja mówi, że PiS za łapówki ściągnął do Polski ćwierć miliona muzułmanów, a PiS – że ćwierć tysiąca i że winnych już zatrzymano. Prezes Kaczyński orzekł, że afera nie jest nawet „aferką", tylko „jakimś głupim i rzeczywiście przestępczym pomysłem", ale władza nie ma z tym nic wspólnego albo bardzo mało. Mało kto zwraca uwagę na fakt, że PiS i „demokratyczna opozycja" zgodnie napędzają antyimigrancką histerię, w wyniku której ucierpią ludzie o nieco innym kolorze skóry, którzy przyjeżdżają do Polski, żeby żyć i pracować. Więcej współczucia budzi były wiceminister Wawrzyk, który podał się do dymisji i wylądował w szpitalu; wedle jednej wersji z podciętymi żyłami, wedle innej – z nerwów.

Posłanka Gajewska – nie Aleksandra, tylko Kinga, nie z Warszawy, tylko spod Warszawy, ale też młoda, i też z Platformy, i też superlaska – poszła na spotkanie Morawieckiego w Otwocku, żeby „otwocczanie dowiedzieli się", że „rząd wpuścił do Polski 250 tys. migrantów, a nasze wizy były sprzedawane na straganach w Afryce". Policjanci zatachali Gajewską do radiowozu, choć kilkanaście osób krzyczało do nich, że „to jest pani poseł" – a chwilę później Komenda Stołeczna Policji wydała oświadczenie: „Policjanci, podejmując interwencję w Otwocku wobec jednej z osób, nie mieli świadomości, że mają do czynienia z panią poseł". Chłopaki, musicie się szybciej orientować: Barbie też może być wybrańczynią narodu. Nie wszystkie posłanki wyglądają jak Beata Kempa.

Temat niezłomnego wsparcia dla bohaterskiej Ukrainy stał się w kampanii nieco niezręczny po tym, jak Zełenski powiedział w ONZ, że „niektórzy w Europie odgrywają w teatrze politycznym solidarność", a tak naprawdę urządzają „thriller ze zboża" i „może im się wydawać, że grają własną rolę", a w rzeczywistości „pomagają przygotowywać scenę dla moskiewskiego aktora". Żeby nie było wątpliwości co do tego, o kim mowa, prezydent Ukrainy nie spotkał się z Andrzejem Dudą. Prezydent RP zachował twarz i nie dał znać, że czuje się odrzucony: „Nie doszło do naszego spotkania, ponieważ terminarz obrad bardzo się rozsunął; spotkanie, jak to mówimy, wypadło z agendy, ponieważ po prostu przesunęła się tak zwana godzinówka"… Prezydent jednak nie do końca wytrzymał w roli i dorzucił szczerze: „Mamy do czynienia z tonącym, a człowiek tonący jest niesłychanie niebezpieczny, może wciągnąć w głębiny"…

Premier Morawiecki powiedział na konferencji prasowej: „Trzeba przypomnieć o tym, jak wielkim zagrożeniem jest powrót rządów Prawa i Sprawiedliwości do władzy" – co naturalnie nieopisanie ucieszyło opozycyjny komentariat. Morawiecki lekceważąco odpowiada: „Porozmawiajmy o sprawach poważnych" – ale jednocześnie przypomina wypowiedź Tuska: „Nadal uważam, że Platforma Obywatelska po to ubiegała się o władzę, po to sprawuje władzę, aby życie w Platformie dla ludzi było lżejsze". Lapsus Tuska Morawiecki opatrzył tytułem „Tusk mówi prawdę – bo się przejęzyczył". Rozmawianie o sprawach poważnych słabo wychodzi obu stronom.

Kilka złotych myśli ze szlaku kampanijnego. Barbara Nowacka: „Nie ma takiej liderki listy, która by mówiła odpuszczam, odpuszczam, wszystkie zasuwamy". Włodzimierz Czarzasty: „Jeden z drugim złodziej się napachał… Napachał, nachapał, wszystko jedno, wszystko złe". Katarzyna Długosz (młoda socjaldemokratka): „Chciałabym walczyć o to, żeby w końcu służba zdrowia działała na takim poziomie, na jakim chciałabym, żeby była". Michał Kołodziejczak: „Ja chcę być człowiekiem, który będzie robił tak, żeby było dobrze w Polsce". Prof. Jarosław Flis, socjolog: „Co takiego ma do zaproponowania opozycja poza tym, że aktualnie nie może robić afer w MSZ? Polacy nie będą głosować na opozycję za to, że biadoli".

Z URNY URBANA

Ciągłe szukanie wrogów, którzy chcą nam coś odebrać, jest naszą narodową specjalnością. Tak było zawsze i tak jest dziś. Tak było także ćwierć wieku temu, we wrześniu 1998 r., kiedy Urban napisał felieton – którego fragmenty przypominamy – poświęcony temu zagadnieniu.

Do łóżka z Albanią

Żaden obcy naród nie chce nam teraz odebrać naszego państwa, choć stanowiło to ulubioną rozrywkę i Austriaków, i Niemców, i Rosjan, a dawniej nawet Turków i Szwedów, co aż śmieszne. Nie wiadomo, dlaczego uważamy to za sukces, że nikt już Polski nie pragnie połknąć. Widocznie Polska jako całość stała się mało smaczna.

Źli cudzoziemcy zasadzają się jednak na inne niż niepodległość, drobniejsze dobra Polski. Np. Żydzi chcą nam odebrać krzyże, chociaż dawniej – za czasów Chrystusa – sami umieli przecież coś takiego wystrugać. Rosjanki, Ukrainki i Bułgarki pragną nam odebrać cnotę. W tym zamiarze stoją przy drogach i swym ohydnym słowiańskim wyglądem gorszą dzieci i dewotów w podróży. Hindusi, Amerykanie itd. chcą nam ukraść wiarę i nasyłają sekty, z którymi katolicy muszą wojować. Przeganianie sekt nosi nazwę ekumenizmu. Zamiarem sekt jest przerobienie Glempowych owiec na buddystów, scjentystów, jehowitów. W tym celu sekciarze zalecają się do ludzi, porywając im dzieci i odbierając wiernym pieniądze. Żydzi pragną nam zagarnąć majątki, które odziedziczyliśmy po nich, i ten sam kłopot mamy podobno z Niemcami. Holendrzy, Francuzi, ci sami Niemcy i kto żyw dążą do zawładnięcia naszymi polskimi gazetami. Stocznia kolebka jest już ukradziona, a to przecież taka sama świętość jak betlejemski żłóbek. Murzyni w osobie piosenkarza M. Jacksona próbowali nam odebrać dzielnicę Bemowo w Warszawie, chociaż jest to już ostatnia pustynia w Europie. Zamiarem było zrobienie tam antyrodzinnego i antykatolickiego murzyńskiego lunaparku, aby polska dziatwa zdziczała i zamiast na pielgrzymki skakała na drzewo. Skośni Koreańczycy, pies ich jebał, ukradli nam syrenę, warszawę, teraz poloneza, a nasze szosy Azja nam zalewa. Amerykanie, którym kiedyś wysłaliśmy na pomoc Kościuszkę, podmienili nam nasze narodowe dania i trunki, konkretnie pierogi leniwe i oranżadę sztucznie barwioną, na hamburgery i coca-colę.

Rumuńscy Cyganie wyżebrują na polskich ulicach wszystkie złotówki, które Gronkiewicz-Waltzowa drukuje i bije. Podaż polskiego pieniądza na rynek tak przez to malała, że w rezultacie dolar stawał się coraz tańszy, dopóki mu kolega rubel nie przyszedł z pomocą. Ruscy więc wpierw zrobili nam Katyń, a teraz zepsuli walutę.

Polacy, chociaż patrioci, wszystko to mężnie znoszą. Jednego tylko naród nasz wytrzymać nie może – że obcy pragną nam odebrać pierwszeństwo w męczeństwie. Martyrologia to skarb największy i my wszystko, jeśli będzie trzeba, obcym oddamy – poza chlubą najbardziej męczonego narodu, największej ofiary obcych mocy.

Perfidni Żydzi, którzy chcą nam odebrać nawet synagogi i dobre imię, posądzają nas, gudłaje parszywe, o antysemityzm oraz ogłaszają siebie narodem silniej męczonym przez Hitlera niż Polacy. Krzyżami się obronimy, a pierwszeństwa nie oddamy, bo trup w trupa równo mordowano nasze narody.

Piszę to wszystko, aby rekomendować przyjaźń albańsko-polską. Albańczycy to jedyny naród, który niczym nam nie wadzi: niczego w Polsce nie chce sprzedać ani kupić, niczego nie pragnie wyświetlić w naszej telewizji, a też nikogo religijnie przekabacić. Albańskiego zboża nasz chłop nie musi rozsiewać na tory kolejowe. Policja nie musi gonić albańskich kurew. Albania nie chce przejąć naszej stoczni ani wylansować swojego auta. Nie ma albańskich szyldów, przeciw którym ustawowo trzeba by chronić polszczyznę; ani albańskich potraw, przed którymi musielibyśmy bronić żołądki; ani albańskiej mafii, ani albańskiej własności; ani albańskich banków czy pornograficznych kaset sprośnych; ani albańskich piosenkarzy. Przy tym Albania nie ma nic przeciw temu, żebyśmy sadzili krzyże w Oświęcimiu. Gdziekolwiek je ustawimy – czy to na plaży, czy to w poprzek przyszłych autostrad – kongresmani albańscy protestu nie przyślą. Ten to naród Bóg stworzył dla Polaków, aby się mieli z kim miłować.

URBAN

Jaka jest Wasza ulubiona afera z ostatnich 8 lat?

TRYBUNA LUDZI

Facebook

Anna Maria Pantera: Zdecydowanie wizy! Chociaż respiratory też fajne. Nie no, trudne pytanie, wszystkie afery są nie do podrobienia.

Bartek Orzeł: Afera? Nie było żadnej afery. Nie było nawet aferki. 15 października potwierdzą to głupi obywatele.

Beata Staszak: Moją ulubioną stanie się afera, której bohater poda się do dymisji, zamiast kpiąco się śmiać do kamer.

Maciej Dadej: Polska, że ten kraj jeszcze istnieje…

Piotr Bak: Nie mogę się zdecydować. Za duży wybór…

Daniel Jursza: 1. Ostrołęka; 2. Respiratory; 3. Wizy. I wyróżnienie: Janusz Kowalski w rządzie.

Krzysztof Bobin: Respiratory, wyjątkowo podły zysk z interesującym zakończeniem niczym z „Ojca chrzestnego". Myślę, że kasa też chyba najlepsza tam się rozeszła.

Maciej Dadej: Brak odznaczenia państwowego dla Kukiza.

Krzysiek Łukomski: Najlepsza pewnie przed nami.

Maciek Rączka: Że Urbana na Wawelu nie pochowali.

Krzysztof Adamczewski: Ja nie mam swojej ulubionej, ale Kuchciński pewnie miło wspomina aferę podkarpacką.

Tomasz Browarny: Ta z wielebnym ks. Szydło, który najpierw został wyświęcony w obecności najwyższych władz państwowych, następnie zniknął, by później zostać odnaleziony w Foliach Bieruń u prezesa Obajtka pod przybranym nazwiskiem.

Eugeniusz Rezmer: Rozpytam w Albanii.

Forum

Ośka OqRydz-Oqć: Bardzo nam się podoba ta ostatnia aferka, a właściwie aferunia Wawrzykowa, którą tak niecnie skonstruował Tusk.

Wypowiedzi pochodzą z forum internetowego tygodnika „NIE" i Facebooka.

PRASA ŚNIADANIOWA

■ Katolicka **influencerka Najjjka** ostrzega, że uprawianie seksu w czasie ciąży brudzi duszyczkę dziecka. To już wiadomo, dlaczego dzieci się takie obspermione rodzą.

■ **Korwin-Mikke** zaapelował, aby uchodźców traktować jak ludzi, czyli strzelać do nich, a nie odgradzać jak bydło. Tak jest, kiedy całą swoją życiową wiedzę czerpiesz z filmów o kowbojach.

■ Katolicki **portal Fronda.pl** proponuje różne formy drapaków dla kotów: drapak klasyczny, z platformą, z domkiem oraz wiszący. Z drapaka w kształcie pentagramu mogłaby skorzystać cała rodzina.

■ **Morawiecki** nazwał naszych siatkarzy najlepszymi ambasadorami polskiej sprawy. Niestety, naszymi prawdziwymi ambasadorami są ciągle nasi piłkarze.

■ Ojciec **Leon Knabit** powiedział, że należy zadbać o to, aby wszystkie dzieci uczyły się religii. Właśnie, pomyślmy, ile radości na lekcje religii mogą wnieść lewackie bękarty.

■ **TVP Info** poinformowało, że niemieccy seniorzy muszą dorabiać, aby przetrwać kolejny miesiąc. I dobrze, z czegoś muszą opłacić polskie gosposie.

MARTA M.

PRZEMINĘŁO Z WIATEREM

Rys. TOMASZ WIATER

eprasa.pl ae127a61eb

Czy jeszcze kochamy Europę.

Zełenski: NIE STRASZ!

Ilust. KRZYSZTOF OLEJNIK

Proeuropejskość podbita brukselskimi chodami Tuska to jeden z najcenniejszych walorów Platformy Obywatelskiej. To argument nawet w oczach tych, którzy nie przepadają za Tuskiem osobiście, ale lubią Europę – czy to ze względów ideologicznych, czy snobistycznych, czy choćby tylko za dobrodziejstwa Schengen.

Jednak nadmiernie otwarte zaangażowanie Brukseli w polskie wybory nie jest chyba dobrze widziane przez polskich wyborców – nawet tych niezaczadzonych obsesją „suwerenności" à la PiS. Kiedy Ursula von der Leyen mówiła do Donalda Tuska, odchodzącego ze stanowiska szefa EPP, „*Bon courage*, mój przyjacielu, i pamiętaj: kiedy spotkamy się następnym razem, zobaczymy ciebie, jak powiedziałeś, jako premiera" – sam Tusk chyba poczuł się lekko skrępowany, co skłoniło go do tłumaczenia: „Nie w rozmowie z szefową Komisji, tylko w moim pożegnalnym wystąpieniu, czyli wobec tysiąca uczestników zjazdu, powiedziałem, że wróciłem do polskiej polityki, żeby wygrać wybory, żeby wrócić w innej roli; nic o premierowaniu nie mówiłem"… W sumie jednak, mimo pewnych nietaktów ze strony szefowej Komisji Europejskiej, Polacy dotąd pozostawali raczej euroentuzjastami: według badania CBOS z kwietnia członkostwo Polski w UE popierało 85 proc. ankietowanych; w sondażu Social Changes z lipca było to 74 proc.

Zboże to nie sądy

Ostatnio jednak decyzje Brukseli – a w zasadzie jednoosobowa decyzja Ursuli von der Leyen o nieprzedłużeniu embarga na import zboża z Ukrainy – czynią z europejskości Tuska broń nieco obusieczną. Sakramentalna narracja opozycji o tym, że wszystkiemu winne jest PiS, które nie potrafiło wynegocjować z Brukselą dalszej ochrony polskiego rynku, trafia, jak sądzę, do coraz mniejszej grupy wyborców. Wielu zapewne zastanawia się, czy ewentualny rząd PO miałby dość jaj, żeby postawić się von der Leyen, tak jak – z dużą łatwością – czyni to rząd Morawieckiego, który w Brukseli nie ma już wiele do stracenia. O ile dotychczasowa walka rządu z KE – toczona w istocie rzeczy o interesy polityczne PiS w postaci przejęcia sądów – dzieliła Polaków wedle stosunku do władzy, o tyle obecna konfrontacja jest postrzegana dużo zgodniej.

Kwietniowy sondaż Pollster wykazał, że 74 proc. Polaków nie chciało „ukraińskiego zboża". W majowym badaniu United Surveys 71 proc. ankietowanych stwierdziło, że mimo wymuszonego na UE czasowego embarga „problem napływu ukraińskiego zboża nie został rozwiązany" – co można oczywiście interpretować jako podważanie skuteczności działań rządu, ale oznacza też, że Polacy są dość zgodni co do tego, że „problem ukraińskiego zboża" istnieje. W sierpniu 65 proc. ankietowanych przez CBOS było za przedłużeniem embarga. 46 proc. uważało, że Polska powinna przedłużyć je nawet wbrew Unii; 34 – że nie. Inaczej mówiąc – z odróżnieniu od sporu o „praworządność" w sporze o zboże Polacy są raczej po stronie władzy.

Zełenski straszy

Co – powiedzmy sobie szczerze – może wynikać z pewnym stopniu także z przyczyn niezwiązanych z dobrem polskiego rolnictwa.

Polacy, deklaratywnie wierni Ukrainie w jej wojnie z Rosją, coraz mniej lubią Ukraińców – a „ratowanie polskiej wsi" jest znakomitym pretekstem, żeby tę narastającą niechęć okazać. Fakt, że Ukraina spełniła groźby i złożyła przeciwko Polsce – swojemu „najwierniejszemu przyjacielowi" – skargę do Światowej Organizacji Handlu, te nieżyczliwe emocje pogłębi.

Polskie media dość starannie przemilczały niedawny wywiad Wołodymyra Zełenskiego dla „The Economist", a szczególnie zawartą w nim groźbę buntu ukraińskich uchodźców, przed którymi Europa otworzyła – jak mówi się w PiS – „swoje domy i serca". Zełenski straszy: „Ograniczenie pomocy dla Ukrainy stworzyłoby ryzyko dla Zachodu na jego własnym podwórku. Nie da się przewidzieć, jak miliony ukraińskich uchodźców w krajach europejskich zareagują na to, że Europa porzuci ich kraj. Ukraińcy generalnie »zachowali się dobrze« i są »bardzo wdzięczni« tym, którzy udzielili im pomocy i schronienia – ale dla Europy »nie byłoby dobrze«, gdyby »docisnęła ich do ściany«" – cytował ukraińskiego prezydenta „The Economist". Ta próba szantażu raczej nie przyczyni się do ocieplenia wizerunku uchodźców. Zwłaszcza w Polsce, gdzie zaszłości historyczne i tak są źródłem dość powszechnego przekonania, że „Ukraińcy mają czarne podniebienie". Słysząc, że teraz „nie da się przewidzieć, jak zareagują", jeśli Europa przestanie futrować ich kraj bronią – wielu Polaków zwizualizuje sobie zakrwawione widły i płonące chaty Wołynia.

Dwa niebezpieczeństwa

Abstrahując od dalszych losów wojny i wsparcia kolektywnego Zachodu dla ukraińskiej walki – na co Polska nie ma żadnego wpływu, bo ta decyzja zostanie podjęta w Waszyngtonie – awantura o zboże, coraz bardziej roszczeniowa postawa administracji Zełenskiego i uległość, jaką okazuje mu von der Leyen, mogą przełożyć się na dwie bardzo ważne dla Polski kwestie.

Pierwsza to oczywiście wynik wyborów. Dotychczas „ukrainosceptyczność" – czasem podniesiona do otwartej wrogości jak w haśle „Stop ukrainizacji Polski" – była przymiotem wyłącznie Konfederacji; teraz wyrosła jej wyraźna konkurencja, wśród której prym wiedzie PiS ze swoim jednostronnym embargiem. Jestem przekonana – pisałam o tym w zeszłym tygodniu – że właśnie ta postawa przyczyniła się do wzrostu notowań partii Mentzena i Bosaka; teraz jednak Konfederacja traci, a PiS zyskuje. Opozycja musi poważnie przemyśleć, jak poczynać sobie z „kwestią ukraińską", żeby nie promować PiS na stanowisko jedynego obrońcy polskiej wsi.

Drugi problem – kompletnie niezauważany w dzisiejszej debacie – to pytanie, jak decyzja von der Leyen wpłynie na stosunek Polaków do Europy. W maju ukazało się badanie CBOS, z którego wynikało, że choć trzy czwarte Polaków nadal chce być w UE, po raz pierwszy od 2004 r. osób obawiających się, że przynależność do Unii „ogranicza zbytnio suwerenność, niezależność Polski", było więcej niż tych, którzy takich obaw nie mają: 44 do 43 proc. Rafał Chwedoruk tłumaczył to wówczas powszechną w Polsce narracją, iż UE – a zwłaszcza Niemcy i Francja – są za miękkie wobec Rosji, podczas gdy my, bohaterscy Polacy, stoimy ramię w ramię z walczącą Ukrainą. Tym razem, obawiam się, zmierzamy do wręcz przeciwnego efektu: niemiecka szefowa KE każe nam się poświęcać dla Ukrainy, na co mamy coraz mniejszą ochotę.

Oligarchowie kontra czapa

Unia Europejska ma wiele wad – wśród nich największą jest brak demokratycznej kontroli jej przywódców, odpowiedzialności przejawiającej się w tym, iż politycy podejmujący decyzje wbrew woli większości obywateli tracą władzę w wyniku demokratycznych wyborów. Parlament Europejski nie ma nawet inicjatywy ustawodawczej, a Komisja Europejska, przedstawiana jako technokratyczne ciało podejmujące decyzje na podstawie obiektywnych przesłanek, jest w istocie rzeczy – jak pisze Yanis Varoufakis – ekspozyturą rządzących Europą oligarchów i działa w ich interesie. Tak że – można zaryzykować tezę – decyzja von der Leyen o zakończeniu embarga na ukraińską żywność nie była podyktowana interesem indywidualnych ukraińskich rolników, którzy produkują głównie na rynek wewnętrzny, tylko olbrzymich międzynarodowych latyfundiów, które przejęły kontrolę nad 30 proc. ukraińskiej ziemi ornej. Na razie od 1 stycznia 2024 r. obrót ziemią na Ukrainie zostanie całkowicie uwolniony w efekcie ustawy przeforsowanej przez Zełenskiego pod osłoną pandemii, która uniemożliwiła wielkie protesty społeczne, wcześniej towarzyszące takim inicjatywom.

Co nie zmienia faktu, iż są obszary, w których Unia Europejska jest naszym jedynym ratunkiem. Jak sądzicie: w którym miesiącu funkcjonowania rządu PiS Ziobro z Kaczyńskim przywróciliby karę śmierci, gdyby nie wykluczały tego traktaty unijne?

Nawet marna Unia jest lepsza niż żadna. Lepiej, żeby większość Polaków o tym pamiętała.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA
awl@redakcja.nie.com.pl

Rys. JANUARY

Za tydzień w „NIE"

Co Urban jadał w Wigilię?

Jak chcieliśmy zachęcić Urbana do modłów?

O orgiach w basenie u Urbana i wiele innych anegdot.

O tym w numerze za tydzień na pierwszą rocznicę śmierci założyciela i redaktora naczelnego tygodnika.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Najdurniejszą w Polsce – a może i na Ziemi – istotą zajmującą się polityką jest żona Stanisława Witka. Dobrze, że on nie musi na to patrzeć…

Ale za Witkową i jej orędziem kłębi się pisowski tłum, w tym europoseł Tomasz Poręba, spin doctor bez doktoratu, który wraz z żoną okazał się miłośnikiem nieruchomości w Chorwacji i za Chiny Ludowe nie potrafi się z nich rozliczyć. Co innego rzeczywistość z jego oświadczeń majątkowych, a co innego rzeczywistość…

Ale nie dlatego Poręba jest bałwanem, że umie zakombinować ze szmalem. Jego tępota kryje się w tym, że na pytania dziennikarzy z OKO.press i Portal-ostro.hr o finansowe chachmęty odpowiedział: „Pytania są insynuacyjne i nie mają żadnego potwierdzenia w rzeczywistości. Mają kłamliwy, pomawiający mnie charakter i są zwyczajnie dla mnie obraźliwe".

Pamiętacie „Rejs" wieszcza Marka Piwowskiego? I fragment jego małej wielkiej improwizacji: „Pytania są tendencyjne"?

Idąc tym tropem, w sprawie chorwackich apartamentów mamy dla Poręby polecenie: „Zwierzę domowe hodowlane, występujące nad Wisłą. Podać jego odgłos".

Paszczą, Poręba, paszczą!

eprasa.pl ae127a61eb

Rys. JANUARY

A tej trzeciej winien jestem ja, winien jesteś ty

ONZ: W Buczy nie było ludobójstwa.

Wojna na Ukrainie mogła zakończyć się w kwietniu 2022 r. Na ostatnim etapie negocjacje zablokował ówczesny premier Wielkiej Brytanii Boris Johnson. Pretekstem do zerwania rozmów było tzw. ludobójstwo w Buczy. Dziś wiemy, że żadnego ludobójstwa nie było.

Mediator z Jerozolimy

Toczyły się rozmowy pokojowe, a do wypracowania ostatecznego porozumienia było naprawdę blisko i zapewne by do niego doszło, gdyby w negocjacjach brali udział wyłącznie przedstawiciele Ukrainy oraz Rosji. Kijów od początku był jednak w rozmowach niedecyzyjny – przy stole siedzieli także przedstawiciele Francji, Niemiec, Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych. W kwietniu 2022 r. prezydenci Rosji i Ukrainy mieli sfinalizować porozumienie, a mediatorem był ówczesny premier Izraela Naftali Bennett. W lutym 2023 r., po zmianie władzy w Izraelu, były już premier w pięciogodzinnym wywiadzie stwierdził, że Zełenski i Putin byli gotowi do porozumienia. Rosja zrezygnowała z postulatów „denazyfikacji", czyli zmiany władzy w Kijowie i demilitaryzacji Ukrainy. Ukraińcy odpuścili wejście do NATO w zamian za szerokie gwarancje bezpieczeństwa. Rosja miała wycofać się na pozycje sprzed 24 lutego, a status Krymu i Donbasu miał zostać uregulowany w dalszych negocjacjach (podobno była mowa o kolejnym referendum na Krymie po kilku latach okresu przejściowego). Warto zaznaczyć, że Bennett nie jest lewicowym pacyfistą, lecz przedstawicielem wyraźnie proamerykańskiej syjonistycznej skrajnej prawicy. We wspomnianym wywiadzie mimo dziesiątek tysięcy ofiar nie potępił jednoznacznie kontynuacji wojny, lecz dostrzegł jej pozytywy, takie jak konsolidacja zachodniego obozu militarnego.

Agent z Londynu

Jak wynika ze słów Bennetta, twarzą jastrzębiej polityki wojennej i grabarzem porozumień pokojowych był ówczesny premier Wielkiej Brytanii Boris Johnson. W szczycie negocjacji przyjechał on na Ukrainę. Roman Romaniuk pisał na łamach zdecydowanie prozachodniej „Ukraińskiej Prawdy": „Według źródeł z otoczenia prezydenta Zełenskiego premier Wielkiej Brytanii Boris Johnson pojawił się w Kijowie niemal bez ostrzeżenia i przyniósł dwa proste komunikaty. Po pierwsze, Putin jest zbrodniarzem wojennym, dlatego należy wywierać na nim presję, a nie z nim negocjować. Po drugie, nawet jeśli Ukraina jest gotowa podpisać z Putinem pewne porozumienia w sprawie gwarancji, to tak się nie stanie. Johnson stoi na stanowisku, że kolektywny Zachód, który w lutym sugerował Zełenskiemu poddanie się i ucieczkę, poczuł, że Putin w rzeczywistości nie jest tak potężny, jak wcześniej myślano, i pojawiła się szansa wywarcia na nim nacisku. Trzy dni po wyjeździe Johnsona z Kijowa Putin publicznie oświadczył, że rozmowy ze stroną ukraińską utknęły w martwym punkcie".

Opisana wyżej wizyta nie była, rzecz jasna, samodzielną szarżą Johnsona. Reprezentował on cały Zachód, a w szczególności cztery najważniejsze państwa NATO – USA, Wielką Brytanię, RFN i Francję. Były premier Izraela przyznaje, że choć pozostali przywódcy wspomnianej czwórki – prezydenci Joe Biden i Emmanuel Macron oraz kanclerz Olaf Scholz – mieli pewne zastrzeżenia do rosyjsko-ukraińskich porozumień, to Johnson był ich największym krytykiem. Zresztą były premier Wielkiej Brytanii przyznał podczas rozmowy z Macronem, że „nalega, aby nie podejmować żadnych negocjacji z Rosją" (relacja z tego spotkania jest dostępna na stronie brytyjskiego rządu).

Trzeźwa krytyczka z Waszyngtonu

Fiona Hill – amerykańska analityczka związana z administracją George'a Busha, Baracka Obamy i Donalda Trumpa, określana przez zdecydowanie antyrosyjski magazyn „Politico" jako „trzeźwa krytyczka Władimira Putina", na łamach magazynu „Foreign Affairs" potwierdziła, że porozumienie było bardzo blisko: „Według wielu byłych urzędników wyższego szczebla USA […] rosyjscy i ukraińscy negocjatorzy wstępnie zgodzili się na zarys wynegocjowanego porozumienia tymczasowego: Rosja wycofałaby się z terenów zajętych po 23 lutego, a w zamian Ukraina obiecałaby, że nie będzie ubiegać się o członkostwo w NATO, uzyskując jednocześnie gwarancje bezpieczeństwa". Ponadto podczas negocjacji rosyjsko-ukraińskich strony „faktycznie ukończyły projekt porozumienia".

Reakcja na impas w rozmowach była przewidywalna – propaganda ukraińska zaczęła obwiniać Rosję, rosyjska Ukrainę, a media zachodnie (w tym polskie) w pierwszym odruchu zaczęły powielać tezy ukraińskie. Wszakże z czasem w narracji zaczęły pojawiać się luki – wspomniana wizyta Johnsona; wypowiedzi zachodnich polityków, negujące sens rozmów pokojowych; artykuły, jak ten w „Ukraińskiej Prawdzie", itd. Niektórzy komentatorzy zaczęli dopuszczać myśl, że do zerwania negocjacji nie musiało dojść z winy Rosji. Jednocześnie przerwanie rozmów oznaczało konieczność przekonania zachodniej opinii publicznej do zwiększenia dostaw broni na Ukrainę. Trzeba było znaleźć pretekst.

Akcja „Bucza"

Po wycofaniu się Rosjan spod Kijowa Ukraińcy odkryli w miejscowości Bucza ciała cywilów. Rozpętano straszliwą histerię medialną, a Bucza stała się symbolem rosyjskiej agresji. Władze Ukrainy niemal codziennie podawały nowe dane dotyczące liczby zabitych i masowych grobów. Politycy na wyścigi oskarżali Rosję o dokonanie ludobójstwa, a etatowi

komentatorzy dowodzili, że Buczę zmasakrowano z rozkazu Putina. Prezydent Rosji miał bowiem organicznie nienawidzić Ukraińców i zemścić się na mieszkańcach Buczy po nieudanej ofensywie na Kijów. Nikt oczywiście nie zwracał uwagi na fakty, choć zarzuty od początku były dęte.

Zgodnie z definicją ONZ, sformułowaną zresztą przez Polaka Rafała Lemkina, „ludobójstwem jest którykolwiek z następujących czynów, dokonany w zamiarze zniszczenia w całości lub części grup narodowych, etnicznych, rasowych lub religijnych jako takich: a) zabójstwo członków grupy, b) spowodowanie poważnego uszkodzenia ciała bądź rozstroju psychicznego członków grupy, c) rozmyślne stworzenie dla członków grupy warunków życia, obliczonych na spowodowanie ich całkowitego lub częściowego zniszczenia fizycznego, d) stosowanie środków, które mają na celu wstrzymanie urodzin w obrębie grupy, e) przymusowe przekazywanie dzieci członków grupy do innej grupy". Kluczowe w tej definicji jest słowo „zamiar" – nie ma znaczenia, ile osób podlega ludobójstwu, jakie metody wobec nich stosowano i na ile były one skuteczne. Dowodem na ludobójstwo jest jednoznaczne określenie, że celem danych działań było zniszczenie danej grupy. Odkąd powstał naród ukraiński, jego członkowie mieszkają zarówno w Rosji, jak i na kontrolowanym przez Rosjan Krymie oraz w Donbasie, i nie zauważono żadnych działań wobec nich mających znamiona ludobójstwa. Próba udowodnienia Putinowi, że uwziął się akurat na mieszkańców małego miasteczka na przedmieściach Kijowa, była karkołomna.

Kolejną kwestią jest liczba ofiar – 10 kwietnia rząd Ukrainy podał, że wynosi ona co najmniej 1222, oczywiście nie pokazując żadnych dowodów. Z kolei specjalna komisja ONZ dotychczas naliczyła 73 osoby z wyraźną nadreprezentacją mężczyzn (54 wobec 16 kobiet i 3 dzieci). Nie jest to przesadnie dużo jak na 30-tysięczne miasto, w którym toczyły się intensywne walki. Podczas wielu innych bitew tej wojny w jednym miejscu ginęło znacznie więcej cywilów.

Powyższe dane nie miały jednak żadnego znaczenia, a na jakąkolwiek sugestię o rozpoczęciu negocjacji Zełenski i jego towarzysze odpowiadali, że po Buczy nie ma mowy o rozmowach pokojowych. Nawiasem mówiąc, między Rosją a Ukrainą regularnie prowadzony jest dialog dotyczący wojny, np. wymiany jeńców czy umowy zbożowej.

Wolna Europa pyta ONZ

Kilka dni temu przewodniczący Międzynarodowej Komisji Śledczej ONZ ds. Zbrodni na Ukrainie Erik Møse powiedział, że trwające dotychczas śledztwo nie wykazało, jakoby działania Rosjan nosiły znamiona ludobójstwa. Co więcej, mimo że minął już ponad rok od wydarzeń w Buczy, Ukraińcy nie przedstawili ONZ ani opinii publicznej imiennych rejestrów ofiar uwiarygodniających twierdzenia kijowskich polityków o ponad tysiącu zabitych w Buczy. Erik Møse nie wytrącił jednak wrogom negocjacji koronnego argumentu z własnej inicjatywy, lecz wywołany do odpowiedzi przez dziennikarkę Radia Swoboda, czyli ukraińską wersję Wolnej Europy – rozgłośni finansowanej w 100 proc. przez rząd USA. Wszystkie polskie media zrelacjonowały informację przekazaną im właśnie przez tę radiostację.

55 proc. Amerykanów jest przeciwnych dalszemu dostarczaniu broni na Ukrainę, słynna kontrofensywa niemal stoi w miejscu, sytuacja kadrowa ukraińskiego wojska jest tak dramatyczna, że rząd w Kijowie zapowiada organizowanie łapanek za granicą, a Ukraina przeżywa największą katastrofę demograficzną w swej historii, która grozi unicestwieniem tego narodu. Najwyraźniej jankesi doszli do wniosku, że czas najwyższy kończyć tę wojnę. Rychło w czas.

MAREK SANOWSKI

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

☆ Gen. Waldemar Skrzypczak – do niedawna piewca armii ukraińskiej, tysiące razy przepowiadający jej niechybną wygraną – w rozmowie z Igorem Janke powiedział: „Nie miejmy złudzeń i nie wierzmy w propagandę ukraińską, mówiącą o tym, że wszystko jest okej. Nie wierzę w to, w ten duch bojowy. Żołnierze dowiadują się, że racje żywnościowe są najgorszego gatunku. Towary, które powinny trafić do formacji bojowych, trafiają gdzie indziej. Pomoc humanitarna lub darowizna są sprzedawane przez różnych malwersantów. [...] Żołnierzy krew zalewa, tracą wiarę w swoich przełożonych i w tych wszystkich, którzy rządzą w Kijowie". Jeszcze kilka miesięcy temu takie rewelacje były zarezerwowane dla ruskich onuc. Jak mawiał klasyk: jest prawda czasu i prawda ekranu.

☆ Skrzypczak dodał: „Okradanie żołnierza, który walczy na froncie, jest najgorszą rzeczą, jaka może mieć miejsce, i to jest niedopuszczalne. Ja się dziwię, że Zełenski tak pobłażliwie z tymi złodziejami postępuje, że on ich odwołuje ze stanowisk. Dla mnie za okradanie żołnierza w czasie wojny przez tę korupcję jest jeden wyrok. Jest kara śmierci". Niestety nie wspomniał, jak należy ukarać przełożonego wszystkich tych złodziei.

☆ Zgodnie z zapowiedziami Ukraina złożyła skargę na Polskę, Słowację i Węgry do Światowej Organizacji Handlu ws. eksportu ukraińskiego zboża. Wdzięczność Ukraińców nie zna granic.

☆ Z danych Urzędu Statystycznego USA wynika, że jankesi w pierwszej połowie 2023 r. kupili od Rosjan nawozy sztuczne za rekordowe 944 mln dolarów. Jak mawiała Marilyn Monroe, „Pieniądze szczęścia nie dają. Dopiero zakupy".

☆ Gruzińskie służby poinformowały, że współpracownicy byłego prezydenta Micheila Saakaszwilego wraz z rządem Ukrainy przygotowywali w Gruzji zamach stanu analogiczny do ukraińskiego Euromajdanu w 2014 r. Saakaszwili powiedział niegdyś, że „celem Gruzji jest wolny, spokojny i zjednoczony Kaukaz". Szkoda, że nie jest to celem Zełenskiego.

☆ Z raportu Transatlantic Trends sporządzonego przez amerykańską fundację German Marshall wynika, że we wszystkich badanych krajach – 10 państwach UE, Kanadzie, USA, Wielkiej Brytanii i Turcji – w 2023 spadło poczucie zagrożenia ze strony Rosji. 88 proc. badanych nie uważa Federacji Rosyjskiej za najważniejsze zagrożenie. Niestety nie zbadano, ile procent rządzących podziela zdanie obywateli. **M.S.**

eprasa.pl ae127a61eb

Mentzen na korepetycje!

Jezus nie płacił podatków.

Myślicie, że Konfederacja to ekstremiści? A słyszeliście o facecie nazwiskiem Javier Milei? Przy nim Mentzen z Bosakiem to dziecięcy chór wiedeński. Inaczej mówiąc, prawica nie ma dna. Nikt nie jest tak pojebany, żeby nie dało się go przebić.

Dzieci głosują na ekstremę

Milei jest faworytem w argentyńskich wyborach prezydenckich, które odbędą się 22 października. W oficjalnych prawyborach – to obowiązująca od 14 lat formuła, w której obywatele Argentyny głosują nad tym, kto będzie mógł kandydować w wyborach właściwych – dostał 30 proc. głosów, pokonując kandydata peronistów Sergia Massę (27 proc.) i kandydatkę centroprawicowego bloku Razem dla Zmiany Patricię Bullrich (28 proc.). Przekaz Mileia jest dość podobny do tego, co Polsce proponuje Konfederacja – tylko jest to anarchokapitalizm na sterydach. Jego dziwaczne pomysły trafiają na podatny grunt w Argentynie, która przeżywa załamanie gospodarcze: inflacja przekroczyła 100 proc. i czerech na dziesięciu Argentyńczyków żyje poniżej granicy ubóstwa. Inaczej mówiąc: lud ma powody do wkurwienia.

Argentyński system wyborczy ma tę zaletę, że motywuje wysoką frekwencję: głosować mogą już 16-latkowie, a dla osób w wieku 18–70 lat głosowanie jest obowiązkowe, pod groźbą grzywny i kary zawieszenia praw wyborczych, które zresztą z zasady nie są egzekwowane. Ma to jednak minus – skłania do głosowania osoby, delikatnie mówiąc, politycznie niedojrzałe: bądź to z racji wieku, bądź kompletnego niezainteresowania polityką, co w naturalny sposób łączy się z daleko idącą ignorancją. A to z kolei owocuje podatnością na nadmiernie proste recepty. Taką receptę oferuje obywatelom Javier Milei.

Kwartał bez wytrysku

Milei ma 53 lata, z wykształcenia jest ekonomistą, acz ma też za sobą grę w zespole rockowym i pochodzącą z tego okresu fryzurę w stylu późnego Elvisa, z bajzlem na czubku głowy i bokobrodami po pachy. Nigdy nie był żonaty, ma za to pięcioro czworonożnych dzieci – angielskich mastifów, sklonowanych za 50 tys. dolarów z ukochanego pupila Conana, który zdechł w 2017 r. A przynajmniej tak sądzą niewtajemniczeni: Milei uważa, że „fizyczne zniknięcie" jego ulubionego psa oznacza tyle, że mastif zasiadł u prawicy Boga, żeby chronić swego ziemskiego pana i umożliwiać mu prywatny dialog ze stwórcą.

Javier Milei opowiada też z dumą, że był „instruktorem seksu tantrycznego" i potrafi przeżyć trzy miesiące bez wytrysku – a jednocześnie obiecuje zlikwidować edukację seksualną w szkołach, albowiem „deformuje głowy młodzieży". Jest entuzjastą wolnej miłości, trójkątów i legalnej prostytucji, co harmonijnie łączy z ultrakonserwatywnym podejściem do praw kobiet, którym odmawia prawa do aborcji także w przypadku ciąży pochodzącej z gwałtu. Zlikwiduje też Ministerstwo do spraw Kobiet oraz Narodowy Instytut do Walki z Dyskryminacją, Ksenofobią i Rasizmem, albowiem uważa je za formę państwowej przemocy wobec tych, którzy myślą inaczej. Ale to nie obskurantyzm w kwestiach obyczajowych jest źródłem jego popularności.

Nowotwór nauki

Recepty na kryzys gospodarczy, proponowane przez Javiera Mileia, czynią ze Sławomira Mentzena wyznawcę umiarkowanego postępu w granicach prawa. Ot, cieniasa.

Milei zlikwiduje argentyński bank centralny i zniesie peso – oficjalną walutą stanie się dolar amerykański. Zlikwiduje publiczne bezpłatne szkolnictwo i służbę zdrowia, sprywatyzuje też wszelkie przedsiębiorstwa państwowe oraz drogi. Zlikwiduje 14. rozdział argentyńskiej konstytucji, który gwarantuje prawa pracownicze, emerytury i cały system zabezpieczenia społecznego, albowiem są one „rakiem, który toczy kraj". Zakaże działania związków zawodowych. Pozbędzie się ministerstw zdrowia, edukacji, pracy, rozwoju społecznego, a także nauki. Do nauki Javier ma szczególnie osobiste pretensje, albowiem głosi ona, że ludzkość niszczy Ziemię, a to nieprawda: „Zmiana klimatu jest socjalistycznym kłamstwem".

Pierdolony komunista Franciszek

„Socjalizm", a zwłaszcza „komunizm" – bo tych słów Milei, jak przystało na prawaka, używa wymiennie, choć chętniej tego drugiego, będącego wyraźnie większą obelgą – to naturalnie źródło wszelkiego zła. A nosicielem tego zła jest najsłynniejszy rodak Javiera papież Franciszek. Choć Milei deklaruje się jako katolik – podobnie zresztą jak 70 proc. społeczeństwa argentyńskiego – papieża zwalcza z ogniem, z jakim rzadko odnoszą się do głowy Watykanu wojujący ateiści.

Franciszek to „jezuita, który promuje komunizm", „pierdolony komunista", „komunistyczny głupek", „kawał komunistycznego gówna", który „głosi komunizm światu" i jest „przedstawicielem złego na Ziemi".

Zło Jorge Bergoglia nie tkwi w jego dwuznacznym zachowaniu podczas rządów junty Videli ani niezbyt stanowczej walce z hierarchami biorącymi udział w kryciu pedofilii (czego przejawem jest choćby pospieszna kanonizacja JP2), tylko w jego natrętnych wezwaniach do troski o biednych i wykluczonych, eksponowaniu katolickiej doktryny społecznej. Albowiem „sprawiedliwość społeczna jest nie fair". A „Jezus nie płacił podatków".

Kup pan nerkę

Podatki to oczywiście największa krzywda, jaką państwo wyrządza wolnym ludziom. Toteż Milei państwa szczerze nienawidzi, czemu daje wyraz we właściwy dla siebie sposób: „Gdybym musiał wybierać między państwem a mafią, wybrałbym mafię. Ponieważ mafia ma zasady, mafia adaptuje się do zmiennych warunków, mafia nie kłamie. A przede wszystkim mafia konkuruje".

Konkurencja jest bowiem w rozumieniu Javiera Mileia lekiem na wszelkie zło. I w tej konkurencji, zdaniem potencjalnego argentyńskiego prezydenta, może brać udział każdy – także ten, kto nie ma nic. Albowiem nigdy nie jest tak, że nawet najbiedniejszy człowiek nie ma nic, co mógłby sprzedać. Milei jest zwolennikiem legalizacji handlu organami: nie widzi powodu, dla którego biedni ludzie nie mogliby zdobywać pieniędzy na życie poprzez sprzedaż nerki albo kawałka wątroby. W sprawie sprzedawania dzieci ma nieco mniej pewności, ale zdarzyło mu się powiedzieć, że „to zależy". Innym elementem konkurencji, w którym Milei dostrzega nadzieję dla Argentyńczyków, jest swobodna sprzedaż broni. Bo, jak już wspomnieliśmy, mafia jest lepsza od państwa, więc należy wyrównać szanse tych dwóch organizacji do konkurowania na rynku dóbr.

I co, chłopięta od Mentzena? Szach i mat.

AWŁ

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

WIARA CZYNI CZUBA

1. Do Humania w obwodzie czerkawskim jak co roku przybyło 35 tys. chasydów, żeby świętować Rosz Haszana na grobie cadyka Nachmana z Bracławia. W teorii pielgrzymka taka uwalnia od grzechów ale – jak szczerze zauważa naczelny rabin Humania Natan Ben Noon – dla 80 proc. pielgrzymów to głównie okazja do balangi. Pielgrzymi – w zasadzie wyłącznie mężczyźni, często z synami – głoszą chwałę bożą uniesieni rytualnym tańcem z niejakim wspomaganiem ze strony alkoholu i narkotyków. Netanjahu i Zełenski apelowali do chasydów, żeby w tym roku sobie darowali. „W Humaniu nie ma dość schronów dla mieszkańców, a co dopiero dla turystów" – powiedział Zełenski i przypomniał, że wiosną 23 osoby zginęły tu wskutek rosyjskiego bombardowania. Izraelczycy odpowiadają, że są przyzwyczajeni do życia w strefie działań wojennych.

2. W neapolitańskiej katedrze Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny jak co roku upłynnił się św. January. Krew męczennika z III w. skrapla się trzy razu do roku, w tym w jego wrześniowe święto. Brak skroplenia zapowiada wojnę, głód lub zarazę. „Właśnie wyjęliśmy z sejfu relikwiarz z krwią naszego patrona, która natychmiast całkowicie się upłynniła" – ogłosił opat Vincenzo De Gregorio. Arcybiskup Neapolu Domenico Battaglia potrząsnął ampułką na oczach tłumnie zgromadzonych wiernych, którzy nagrodzili jego wysiłek brawami. „Każdego roku widzimy na własne oczy, że świadectwo człowieka, który hojnie oddał życie za Ewangelię, aż do ostatniego tchu, aż do ostatniej kropli krwi, to nie przeszłość; to świadectwo, które jest obecne, żywe, aktualne i zdolne przemówić do serca każdego wierzącego" – ogłosił biskup.

3. Pastor Rick Morrow z Beulah w stanie Missouri przedstawił wiernym swoją koncepcję źródeł autyzmu: opętanie demoniczne. „Znam pastora, który wyrzucił demona z wielu autystycznych dzieci; pomodlił się i one zostały uzdrowione, ich mózgi dostały nowe okablowanie i zostały naprawione. Jeśli autyzm nie jest demoniczny, to znaczy, że Bóg stworzył te dzieci w ten sposób. To jedyne inne wytłumaczenie. A przecież Bóg nie produkuje śmieci. Bóg nie robi bałaganu. Bóg nie tworzy ludzi w ten sposób". Diagnoza pastora Ricka nie spotkała się z uznaniem wśród wiernych, którzy mają dzieci z autyzmem. „Autyzm mojego syna przyniósł nam wiele dodatkowych wyzwań, ale jest absolutnym BŁOGOSŁAWIEŃSTWEM! Autyzm umocnił moją wiarę" – ogłosiła niejaka Maggie Libby. Jak myślicie, kto ma bardziej wyprany mózg: Rick czy Maggie?

4. Rząd Malezji wytoczył wojnę zegarkom Swatch z tegorocznej kolekcji „Pride". Zaczął od zarekwirowania wszystkich, które znalazł w salonach Swatcha – 172 – a teraz ogłosił, że „produkty Swatch zostały zakazane, ponieważ są szkodliwe lub potencjalnie szkodliwe dla moralności, interesu publicznego i interesu narodowego poprzez promowanie, wspieranie i normalizację ruchu LGBTQ, który nie jest akceptowany przez ogół społeczeństwa Malezji". Malezyjskie MSW ogłosiło, że działa na rzecz „zapewnienia bezpieczeństwa publicznego i pokoju". Za noszenie Swatcha z pedalskiej kolekcji można dostać 3 lata więzienia i 20 000 ringgit – ponad 18,5 tys. zł – grzywny. Zegarki podpadły władzom, bo występują w sześciu kolorach – gejowskiej tęczy – i do tego paski mają tęczowe szlufki.

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

5. Sąd w stanie Kentucky orzekł, że Kim Davis, była urzędniczka stanu cywilnego hrabstwa Rowan, ma zapłacić 100 tys. dolków odszkodowania Davidowi Ermoldowi i Davidowi Moore'owi: gejowskiej parze, której odmówiła ślubu cywilnego wkrótce po tym, jak Sąd Najwyższy w sprawie Obergefell v. Hodges orzekł, że konstytucja gwarantuje równe prawa parom jednopłciowym. Najciekawsza w tej całej opowieści jest osobista historia Kim. Było to tak: Kim poślubiła męża nr 1, miała bliźniaki z mężem nr 3, rozwiodła się z mężem nr 1, poślubiła męża nr 2, rozwiodła się z mężem nr 2, poślubiła męża nr 3, rozwiodła się z mężem nr 3 i ponownie wyszła za męża nr 2. W swojej książce o odnalezieniu Boga opisuje to jako boską ironię: „Bóg wybrał czterokrotnie zamężną kobietę i wykorzystał ją do obrony małżeństwa przed homoseksualistami".

6. Irak, tak skutecznie wyzwolony przez amerykańską (oraz między innymi polską) Operację „Iracka Wolność", również czyni postępy w budowie demokracji. Poseł Raad Al-Maliki zgłosił projekt nowelizacji ustawy o zwalczaniu prostytucji, zgodnie z którym „perwersja seksualna", zdefiniowana jako „powtarzające się stosunki seksualne między członkami tej samej płci, występujące więcej niż trzy razy", będzie podlegała karze śmierci lub dożywotniego więzienia. Samo „promowanie homoseksualizmu" będzie zagrożone karą minimum siedmiu lat więzienia i grzywną. Trzy lata więzienia mają grozić za „udawanie kobiet" – czyli jakiekolwiek przejawy transpłciowości. Z kolei Komisja ds. Komunikacji i Mediów wydała dyrektywę nakazującą mediom zastąpienie terminu „homoseksualizm" terminem „dewiacja seksualna".

7. Pastor John Raymond, dyrektor wyznaniowej szkoły Lakeside Christian Academy w Luizjanie, jest oskarżony o okrucieństwo wobec dzieci w kilku różnych sprawach. Chodzi o karę wymierzoną trzem uczniom, którzy gadali na lekcji – na 45 minut zakleił im usta grubą monterską taśmą – a także o dwukrotne sponiewieranie tego samego przedszkolaka: raz Raymond podniósł go za kostki głową do dołu i złoił mu tyłek, drugi raz zatkał mu usta i nos ręką tak, że dziecko zaczęło się dusić. Pastor czeka na proces, ale niespecjalnie się tym przejmuje, albowiem ma ważniejsze zajęcia: Partia Republikańska w Luizjanie postanowiła wystawić go w wyborach do Kongresu. „Spędziłem 23 lata jako pastor w służbie promowania konserwatywnych wartości chrześcijańskich i czuję się zobowiązany do ubiegania się o wprowadzenie tych wartości w życie" – mówi Raymond.

eprasa.pl ae127a61eb

Murzynek Kaczyńskiego

Bzik imperialny.

Rządząca Polską przedwojenna sanacja wspierała Ligę Morską i Rzeczną – organizację masową, wielce zasłużoną w zaszczepianiu obywatelom odrodzonej Polski kultury marynistycznej. Bo wcześniej szlachecko-chłopska I Rzeczpospolita tradycji morskich nie krzewiła.

W roku 1930 tamtą Ligę przemianowano na Morską i Kolonialną. Bo sanacja zachorowała na politycznego „bzika kolonialnego". Diagnozuje go Grzegorz Łyś w wielce ciekawej monografii „Bzik kolonialny. II Rzeczpospolitej przypadki zamorskie".

Tamta Liga Morska i Kolonialna była ze mną od dziecka. Od dnia zakupu w częstochowskim antykwariacie oprawionego rocznika miesięcznika „Morze" z roku 1935, ówczesnego organu tej Ligi. Wtedy zaczęły fascynować mnie romantyczne zdjęcia polskich okrętów wojennych. Nielicznych niestety. Kibicowałem przedwojennej społecznej zbiórce pieniędzy na okręt podwodny „Orzeł". I całym sercem podpisywałem się pod publikowanym w każdym wydaniu „Morza" drukowanym apelem Ligi – „Żądamy koloniji!".

Bo wizja posiadania na własność małego Murzynka, jakiego miał Staś Tarkowski, błyskawicznie trafiła mi do serca.

Dziś podobnie sprzedaje się wizja „reparacji – zadośćuczynienia od Niemców" obiecywana podczas kampanii wyborczej milionom Polaków przez pisowskiego ministra Mularczyka. I choć

każdy rozsądny dorosły Polak wie, że prędzej zobaczy obiecywane przez sanację „polskie kolonje" niż obiecywane dziś niemieckie pieniądze, to popularny wśród Polaków gen zdziecinnienia sprawia, że wielu uważa, że „coś w tym może być". I woli nie negować publicznie tych gruszek na wierzbie.

Przedwojenna sanacja chorowała na „bzika kolonialnego". Rządząca dziś Polską neosanacja z PiS cierpi na „bzika imperialnego". Powtarzają jak mantrę zniekształcony proroczy greps Piłsudskiego, że „Polska będzie wielka albo nie będzie jej wcale". I tworzą wizję IV RP jako światowego mocarstwa.

Na razie regionalnego, ale skoro prorok wieszczył „wielkość", to czas światowego imperium pewnie nadejdzie.

Cuda i niewidki

Każde imperium, nawet to kieszonkowe, musi mieć swoje wielkie budowle. Cuda architektoniczne zachwycające jego obywateli i świat wokoło. Wymurowane posągi Kolosów, zwisające ogrody albo przynajmniej piramidy.

Pierwszą zrealizowaną Wielką Budową IV RP jest przekop przez Mierzeję Wiślaną.

Kiedy powstawał, sens inwestycji uzasadniano militarnie i gospodarczo. Miała uniezależnić polską marynarkę wojenną od konieczności przepływu przez kontrolowaną przez Rosję enklawę kaliningradzką. Otworzyć morską drogę z Zalewu Wiślanego na Bałtyk. I dodatkowo uruchomić port w Elblągu na potrzeby wielkich kontenerowców.

Przekop powstał za ponad 2 mld zł. Militarnej pozycji Polski nie poprawił. Nie dlatego, że IV RP rządzona przez PiS nie ma już marynarki wojennej. Nie ma nowoczesnych okrętów nawodnych, nie ma ani jednego okrętu podwodnego. W razie rosyjskiego ataku lądowego trzeba będzie przekop zablokować, może nawet zasypać, by nie oddać Mierzei bez walki.

Gospodarczo przekop też się nie spina. Jego toru wodnego nie połączono z portem w Elblągu, bo koszt takiej inwestycji to kolejny miliard złotych. Poza tym nawet po uruchomieniu go potencjalne zyski z transportu będą mniejsze od kosztów utrzymywania takiej drogi wodnej.

Dziś przekop jest torem wodnym dla statków wycieczkowych i jachtów, atrakcją turystyczną. Inwestycją przypominającą licznie wybudowane w polskich miasteczkach za pieniądze otrzymane z Unii Europejskiej wiecznie deficytowe aquaparki. Ale ten imperialny aquapark został wybudowany za gigantyczne pieniądze polskich podatników. Czyli nasze. Jest żywym pomnikiem marnotrawstwa naszych podatków. Może też i złodziejstwa.

Ale tysiącom Polaków podoba się ten pomnik „bzika imperialnego". Bo, jak od nich usłyszałem: „Jesteśmy wielkim Narodem i stać nas na nasz przekop". Zapewne potęga i powszechność „bzika imperialnego" wśród Polaków sprawiają, że można być dumnym z takiego klasycznego „Misia".

Zwłaszcza że zapewne żaden z tych dumnych Polaków nie widział i nie zobaczy realnych 2 mld zł. Ani przyszłych miliardów potrzebnych do utrzymania przekopu. Za to każdy na własne oczy może zobaczyć przekop. Odbyć tam pielgrzymkę. Nadąć się z dumy, że pokazaliśmy Ruskiemu wała, że mamy nasz przekop na nasze wielkie możliwości i jeszcze na ten temat nie powiedzieliśmy ostatniego słowa.

Czy zobaczymy inną planowaną wielką budowlę kaczyzmu? Słynny Centralny Port Komunikacyjny. Sieć szybkich pociągów krzyżujących się w Baranowie przy Wielkim Przesiadkowym Porcie Lotniczym.

Na pewno z ekonomicznego punktu widzenia dziś ten Wielki Przesiadkowy Port Lotniczy nie ma żadnego sensu. Przynajmniej do czasu, kiedy Białoruś i Rosja nie otworzą swej przestrzeni lotniczej dla samolotów nadlatujących z Polski. To długo nie nastąpi, bo strona polska ciągle eskaluje konflikt, teraz zamyka wjazd do kraju dla wszystkich samochodów z Rosji. I wszystkie znaki na ziemi i niebie wskazują, że resetu relacji z Rosją i Białorusią w tym dziesięcioleciu nie będzie.

I duma ich rozpiera

Ten brak ekonomicznego sensu nie gwarantuje, że elity PiS nie rozpoczną wielkiej budowy Centralnego Portu Lotniczego. Zrobią to, aby wydać kolejne miliardy złotych pochodzące z naszych podatków. I przy okazji ukraść sobie setki milionów.

Taka rozpoczęta inwestycja może wymusić procedurę zamykania lotniska na warszawskim Okęciu. Wtedy elity PiS będą mogły kraść nasze podatki i jeszcze zarobić na spekulacji okolicznymi gruntami.

Kandyduję do sejmu w Warszawie z listy Lewicy. Chcę bronić stołecznego Okęcia przed złodziejami polskiego majątku.

Elity PiS nie lubią „liberalno-lewackiej" Warszawy. Na złość warszawiakom mogą przenosić rejsy z lotniska Okęcie na już wybudowane, ale jak przekop też mało używane lotnisko w Radomiu. Położone w okręgu wyborczym posła Marka Suskiego i Roberta Bąkiewicza.

Odkąd prezes Kaczyński wyemigrował politycznie z Warszawy do Kielc, stolica Polski ma w elitach PiS przechlapane. Skazano ją teraz na rządy nowego warszawskiego pisowskiego namiestnika, ministra kultury Piotra Glińskiego, skonfliktowanego ze środowiskami twórczymi, ale też wsławionego wieloma gigantycznymi inwestycjami muzealnymi.

Zauważcie, że elity PiS znakomicie czują się w muzeach. Prezentują wizje rozwoju Polski obciążone muzealnym stylem myślenia i muzealną mentalnością. Minister Gliński zamierza pokryć nasz kraj pajęczyną nowych muzeów. Ku chwale Wielkiej Minionej Imperialnej Polski.

W tych nowych wypasionych muzeach krzewić się będzie i rosnąć w siłę polski „bzik imperialny". Ku chwale dumnych PiS-Polaków!

PIOTRA GADZINOWSKI

Rys. OBYWATEL JANEK

ETYKA BEZBOŻNA

Co Niemcy są nam winni

Kanclerz Niemiec dzwonił do Jarka Kaczyńskiego, żeby nakazać mu podniesienie wieku emerytalnego, ale Jarek spuścił go po brzytwie, a nawet rzucił słuchawką, nie czekając na połączenie. A wszystko to widział kot i mruczał z aprobatą.

Błazeński i żenujący filmik z Kaczyńskim nieudolnie grającym Kaczyńskiego wpisuje się w trwającą od lat kampanię nienawiści wymierzoną w państwo, które było najważniejszym rzecznikiem naszego wstąpienia do Unii Europejskiej oraz naszym największym sponsorem w ramach unijnych systemów redystrybucji. Nie sądzę, aby dogmatyczna polityka Niemiec, zakazująca w zasadzie wszelkiej krytyki rządów krajów najechanych i podbitych przez Hitlera, była w pełni roztropna; pogrozić paluszkiem by nie zawadziło. Bo tak, wiedząc, że Niemcy sami wiążą sobie ręce, odmawiając sobie prawa do reakcji na zalew chamstwa i agresji ze strony Morawieckiego, Kaczyńskiego i władz RP w ogólności, rozochoceni pisowcy harcują i dokazują już bez żadnych hamulców. Warcząc na Niemcy, liczą na rozbudzenie w Polakach przygasłej już niechęci i lęku przez byłym agresorem. A potrzebują tego nie tylko z powodu politycznych zalet, jakie ma dla każdej populistycznej i amoralnej władzy ksenofobia, przywiązująca obawiający się obcych lud do jego „przywódców" i „obrońców", lecz przede wszystkim z uwagi na strategię zohydzania Donalda Tuska, któremu przypisuje się służalczość wobec rzekomych niemieckich mocodawców. A wszystko to dlatego, że jako premier zabiegał o jak najlepsze relacje z Niemcami i osobiście z Angelą Merkel.

Za całym tym szmatławym i prostackim dokazywaniem kryje się jednak pewien realny i poważny problem moralny. PiS wskazuje zresztą na niego wprost, gdy domaga się od Niemców odszkodowań za II wojnę światową. Pomijając tę sprawę, dętą i bez szans, a politycznie dla Polski wielce szkodliwą, trzeba zadać sobie pytanie, jak daleko sięga odpowiedzialność państw i narodów za zbrodnie popełnione przez dawno już upadłe reżimy i dawno już nieżyjących przodków. Na pewno odpowiedzialność ta ma swoje granice. Nikt nie będzie rozliczał Włochów za zbrodnie rzymskich cesarzy. Ale za zbrodnie siepaczy Mussoliniego? Chyba można. Wszystko zależy od tego, czy żyją jeszcze ofiary bądź ofiary pośrednie, czyli dzieci i wnuki ofiar, mające poczucie, że krzywdy doznane przez rodziców i dziadków w jakiś sposób dotykają również ich samych. Zresztą nawet i bez tego poczucia, a za to przez zwykłą solidarność z własną rodziną, ludzie mają prawo domagać się jakiegoś rodzaju zadośćuczynienia ze strony potomków sprawców i oprawców.

Zwykle nie chodzi tu nawet o pieniądze, lecz po prostu o pamięć dawnych win i powstrzymywanie się od ich relatywizowania i umniejszania, jak na przykład w przypadku Turków bagatelizujących masowe mordy na Ormianach w okresie I wojny światowej.

Rys. TOMASZ WIATER

A jak z tym było i jest w przypadku Niemiec? Trzeba przyznać, że było nie najlepiej. Przez wiele dekad Zagłada Żydów na tyle skutecznie absorbowała sumienia niemieckie, przesłaniając inne zbrodnie, że na krzywdę Polski i Polaków jakby brakowało miejsca. Było to naprawdę irytujące. Od kiedy jednak udało się nam (z wielką pomocą Niemiec) dołączyć do świata Zachodu, sytuacja stopniowo się poprawia. W niemieckich szkołach uczy się już znacznie więcej o tym, co hitlerowskie Niemcy wyprawiały z Polakami, a zwłaszcza o rzeziach ludności cywilnej w czasie powstania warszawskiego. Wciąż jednak ta wiedza nie jest dostateczna. Również upamiętnienia polskich ofiar są nikłe i prawie niewidoczne, zwłaszcza w porównaniu z upamiętnieniami ofiar Holokaustu (zresztą w połowie również polskich, lecz z polskością w świadomości społecznej niekojarzonych).

Na Niemców trzeba naciskać, aby w szkolnym nauczaniu o epoce hitlerowskiej więcej miejsca poświęcano okupacji Polski i zbrodniom na ludności cywilnej. To jest ważne, lecz może nie najważniejsze. Najważniejsza jest autentycz-

eprasa.pl ae127a61eb

Grecy prezesowi

Demagogia, populizm i inne smakołyki.

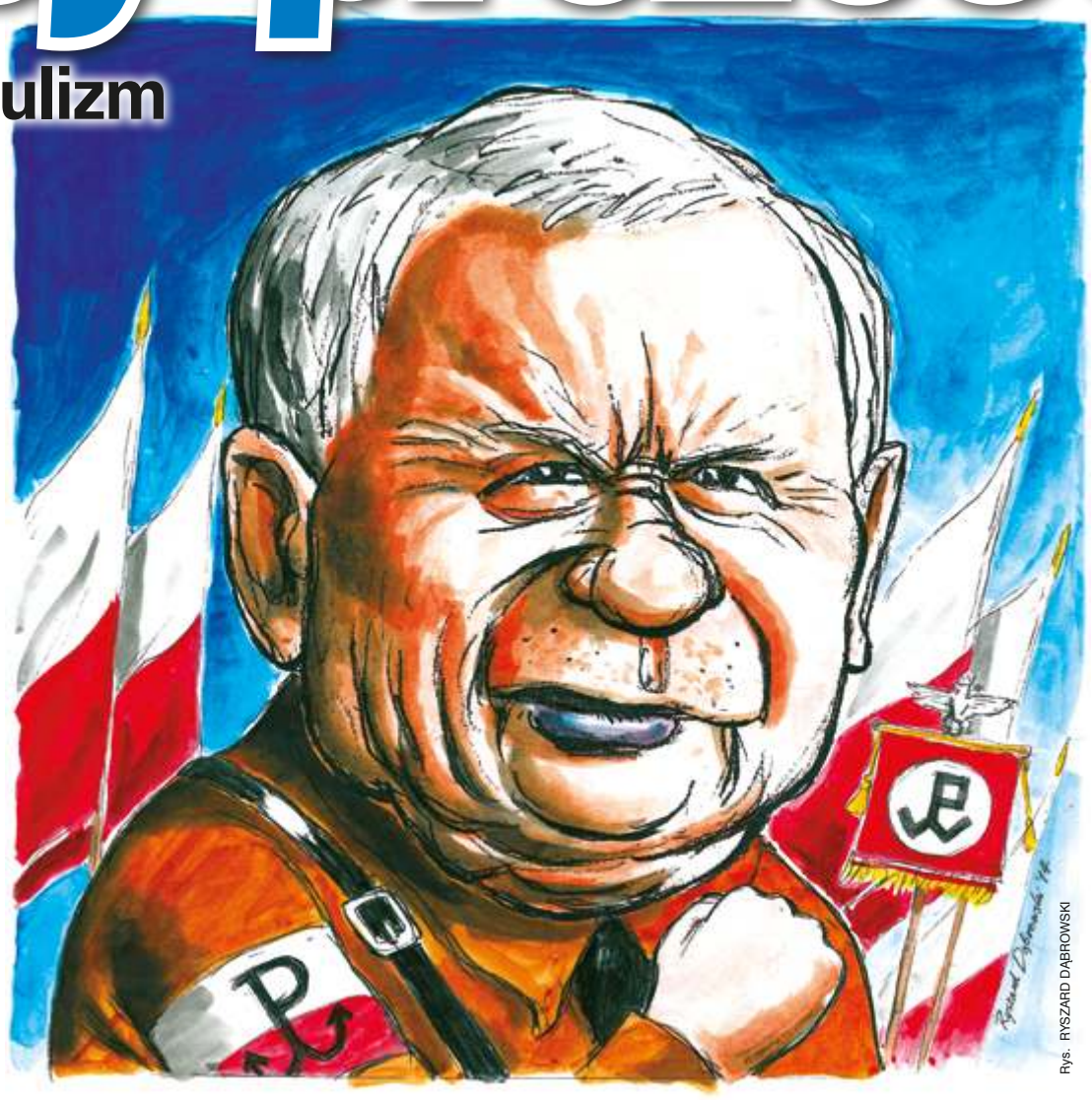

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Zamiast powiedzieć politykowi wprost: „ty chuju", a polityczce: „ty kurwo", w debacie (choć to słowo na wyrost, bo idzie o zwykłe pyskówki) polskiej i zagranicznej latają jak skowronki oskarżenia o populizm czy demagogię. Te dwa pokrewne pojęcia nie powinny jednak się zacierać w naszych umysłach. Zacznijmy od historycznie pierwszej kategorii – demagogii.

Zaczęło się niewinnie. Pierwotnie demagog, czyli przywódca ludowy, był osobą, która przemawiała na zgromadzeniu obywateli greckich miast-państw – agorze. Nie było w tym określeniu nic potępiającego czy pejoratywnego. Z czasem jednak filozofowie zdefiniowali demagoga jako osobę, która kierując się własną korzyścią, dąży do władzy politycznej poprzez schlebianie ludziom i uleganie im. Demagog tym różnił się od polityka (gr. *politikos*), że brak mu było adekwatnej wiedzy i troski o społeczeństwo, choć nie brakowało mu dobrej gadki.

Ojciec wszelkich demagogów

Michael Signer w klasycznej książce z 2009 r., w której tytule określa demagogów mianem najgorszych wrogów demokracji, opisuje jednego z najbrutalniejszych przedstawicieli tego gatunku w dziejach, Greka Kleona. Rzucił on na kolana wzorcową ateńską demokrację, obalił szanowanego męża stanu, przejął władzę, prowadził lekkomyślne ekspedycje wojskowe, próbował masowego mordu na mieszkańcach podbitej wyspy.

Kleon był zawodowym żołnierzem, jego ojciec prowadził garbarnię, toteż złośliwi wciąż wyśmiewali go, twierdząc, że jak przechodzi, czuć ciężki zapach olejków i ziół używanych w rodzinnym zakładzie. I tu – zupełnie nie wiem czemu – przypomina mi się wyszydzanie w innym czasie i miejscu dwóch bliźniaków niewysokiego wzrostu i nienachalnej urody, którzy jak i Kleon pokazali, że skoro inni nie mogą ich kochać, to zaczną w końcu się ich bać. O nich to, jak mi się zdaje – spójrzcie na zdjęcia sprzed trzech dekad! – śpiewał Kazik w kawałku „Jeszcze Polska": „brudne twarze z wąsikami, ci agresywni frustraci".

Ale wróćmy do Kleona.

Nawet twardy realista, autor klasycznej „Wojny peloponeskiej" historyk Tukidydes, odmalował go w dość czarnej tonacji. Nie odmawiał Kleonowi inteligencji i charyzmy, ale podkreślał przerost ambicji, bezwzględność i wulgarność. I zwracał uwagę, że brutalność Kleona była wręcz nieludzka, co wyrażało się podejmowaniem decyzji, które dla kogokolwiek, kto ma choć krztynę współczucia dla innych ludzi, były niewyobrażalne. Dążąc do politycznego sukcesu i osobistej władzy, przekraczał wszelkie granice. Jak pisze w tym kontekście Signer: „Ta ambicja może mieć tragiczne ludzkie koszty. Ścieżka każdego skutecznego demagoga jest zaśmiecona ciałami ofiar – czasami w przenośni, ale często dość dosłownie".

W nader ciekawy sposób Kleon wykończył wybitnego ateńskiego polityka Peryklesa. Ten drugi prowadził umiarkowaną politykę zdrowego rozsądku, ale czasy mu nie sprzyjały – banda Spartan splądrowała dzielnicę Aten, co podgrzało ksenofobiczne nastroje. Na dodatek wybuchła epidemia. Kleon oskarżył na publicznym zgromadzeniu przywódcę o niewłaściwe wykorzystanie funduszy publicznych, czyli korupcję. Przegłosowano odebranie Peryklesowi tytułu generała. I choć po kilku miesiącach przywrócono mu tę godność, już nigdy nie odzyskał poprzedniej pozycji.

Generałem obrano Kleona, który prowadził wojnę przeciwko Sparcie. Kiedy inni, nie tak utalentowani politycznie, lecz jeszcze bardziej bezwzględnie szowinistyczni demagodzy zobaczyli, co może ich doprowadzić na Olimp władzy, w Atenach u steru polityki zły pieniądz był wypierany przez pieniądz jeszcze gorszy. Jak ujął to Tukidydes, następcy Peryklesa „przyjęli metody demagogii, które doprowadziły do utraty przez nich kontroli nad faktycznym przebiegiem spraw".

Znaleźć wroga

Jak trafnie ujmuje to Iván T. Berend w książce „A Century of Populist Demagogues: Eighteen European Portraits, 1918–2018",

jedną z najważniejszych cech wyróżniających demagogów jest wykluczający charakter ich przekazu. Zawsze, ale to zawsze wskazują oni na wroga, którego można obarczyć odpowiedzialnością – a powiedzmy wprost, także winą – za wszelkie problemy narodu.

Bywa to obca władza, mniejszości etniczne lub religijne, muzułmanie, Żydzi czy liberałowie bądź lewacy.

Demagodzy, podkreśla Berend, zawsze przedstawiają rzeczywistość w kategoriach walki, zmagania dobra ze złem, „nas" z „nimi". A skoro, jak to ujmował Machiavelli, cel uświęca środki, to jako iż w nas – parafrazując prezesa – jest „czyste dobro", nie ma takiego skurwysyństwa, takiej podłości, których nie można by w razie potrzeby uczynić dla zwycięstwa nad prawdziwym – a częściej wyimaginowanym, a przez to poręczniejszym – wrogiem. Stąd wszystkie charakterystyczne dla demagogów nadmierne uproszczenia, półprawdy i jawne kłamstwa.

Warto podkreślić, że demagodzy zyskują w czasach niepokoju, niepewności, kłopotów gospodarczych, politycznych i społecznych. A, jak wiadomo, szczególnie w Polsce jak trwoga, to do Boga. Więc demagodzy najczęściej są na pokaz pobożni i używają religii niczym kija bejsbolowego, którym roztrzaskuje się kości i czaszki przeciwników politycznych.

Doskonale widać to w przypadku Węgier w traktacie w Trianon z 1920 r., które straciły ówcześnie 60 proc. swego terytorium i nieomal 40 proc. ludności.

Władzę wtedy próbowali przejąć komuniści, lecz szybko zwyciężyła kontrrewolucja admirała Miklósa Horthyego, który zawarł sojusz z Hitlerem, co przyczyniło się do wymordowania połowy populacji żydowskiej na Węgrzech. Co znamienne, Madziarzy w 1920 r. wprowadzili pierwsze w Europie ustawy antyżydowskie. Gyula Gömbös, jeden z czołowych ówczesnych demagogów, szermował hasłem: „Okrojone Węgry to nie kraj! Wielkie Węgry są Królestwem Niebieskim!".

Jak więc widać, Viktor Orbán, powtarzający wszem i wobec, że Węgry to prawdziwi obrońcy chrześcijańskich wartości w Europie, nie pojawił się w próżni i ma znaczącą tradycję, do której może się odwoływać.

Populiści: nowi demagodzy?

W jakimś sensie nowoczesne państwo liberalno-demokratyczne było, powtórzmy za artykułem Haiga Patapana sprzed czterech lat, próbą rozwiązania problemu demagoga. Okazało się to szczególnie ważne w kontekście wielkich religii monoteistycznych, które zrodziły oczywistą – pamiętajmy o średniowiecznych „władcach z bożej łaski" – pokusę sakralizacji władzy i nadania jej boskiego stempla. Skoro władza pochodzi od Boga, wszelkie próby jej obalenia były uznawane za zgoła grzeszne.

Liberałowie uznali, że doceniając starożytne cnoty edukacji politycznej przywódców i społeczeństwa, należy stworzyć zupełnie nowy system wzajemnie równoważących się i kontrolujących władz – tu pojawia się monteskiuszowski podział na władzę ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą. Ojcowie liberalizmu zdawali sobie sprawę, że nawet pojedynczy człowiek, który umie wyrażać i podsycać lęki oraz obawy zwykłych ludzi, może dzięki wolności słowa i talentom oratorskim obalić demokrację i zaprowadzić tyranię.

Nie przypadkiem wielu populistów, zaprzysięgłych wrogów liberalizmu (kłania się pisowskie hasło sprzed prawie 20 lat „Polska solidarna" kontra „Polska liberalna"), próbuje sięgnąć po władzę starożytnych demagogów: uczynić parlamenty maszynkami do głosowania, tłumiąc wszelkimi metodami (także policyjnymi) opór wobec swych rządów, przejmując media, które nasączają jadem propagandy, zawłaszczając coraz bardziej państwo i społeczeństwo, a w pewnej mierze i gospodarkę.

Co po tsunami?

Jak zauważa wspomniany na początku Signer, „Kleon był politycznym tsunami. Gdy fale ustąpiły, a Ateńczycy przyjrzeli się wrakowi, postanowili zbudować systemy ostrzegawcze i barykady, które zapobiegłyby kolejnej katastrofie w przyszłości. Wywołał falę samokrytyki i powściągliwości wśród Ateńczyków, co ostatecznie pomogło demokracji przetrwać; ich przykład odbija się dziś echem jako potężna, choć zapomniana odpowiedź na problem demagogii w demokracji".

Jaka będzie reakcja ludzi w Polsce, Europie i na świecie na demagogię i/lub populizm? Pewnie odpowiedź na to proste pytanie powinna być bardzo złożona. Inny jest amerykański czy latynoamerykański populizm lewicowy, inny skrajnie prawicowy, pleniący się niczym chwast na całym świecie. I zbierający ponure żniwo nienawiści, rasizmu, ksenofobii, wrogości wobec społeczności LGBT+ i wszelkiej inności.

Tak czy inaczej, wesoło raczej nie będzie.

Trump wraca, niemieckie AfD rośnie w siłę, Marine Le Pen jest mocna, Włosi już w rękach prawicowych populistów. W naszym kraju – obym się myliła! – na przebudzenie też się nie zanosi.

Polska demagogia ma wiele twarzy, a każda z nich świątobliwie namaszczona kościelnym kropidłem. To potencjalnie bardzo niebezpieczne, wszak, jak słyszymy w piosence „No pasaran" na płycie Piguły Original:

„Na Jasnej Górze marsze, pochodnie,
Kiedyś już w Niemczech było podobnie.
Wybrali z wąsem ludu trybuna,
Kilka lat później nad Auschwitz łuna.
Nowy porządek już napisany,
Cel zbrodni dawno został obrany.
Dla nich mniejszości i imigranci
To nie są ludzie, tylko dewianci".

KATARZYNA KOENIG

---

na przemiana. Przemiana polityczna, a przede wszystkim odmiana serc. Kraj sprawców ma moralny obowiązek zmienić się w kraj, który w sposób wzorowy dba o to, aby nigdy nie stać się nim ponownie. W przypadku Niemiec (podobnie jak Austrii) stało się to z dużym opóźnieniem. Dawni naziści jeszcze w latach 70. często zajmowali wysokie stanowiska. Wystarczyło przejść bez szwanku powojenny proces denazyfikacji, czyli lustrację, a przynależność do NSDAP bądź służba w Wehrmachcie nie były już przeszkodą w karierze – ani w RFN, ani w NRD, ani w Austrii. Po zjednoczeniu Niemiec to się zmieniło. Nie tylko dlatego, że dawni naziści sami się wykruszyli, lecz dlatego, że zarówno chadecy, jak socjaldemokraci, na zmianę rządzący Niemcami, doszli do wniosku, że właśnie na Niemczech spoczywa obowiązek ukształtowania społeczeństwa prawdziwie wolnego od wszelkich skłonności faszystowskich i autentycznie pokojowego. I choć faszystów w Niemczech (zwłaszcza na terenach byłej NRD) nie brakuje, to jednak w życiu publicznym Niemiec każdy przejaw rasizmu, antysemityzmu, ksenofobii i szowinizmu spotyka się z natychmiastowym potępieniem ze strony władz i autorytetów.

To smutne, że paskudne ksenofobiczne i nacjonalistyczne treści o wiele łatwiej dziś usłyszeć z ust potomków ofiar nazizmu w Polsce niż z ust potomków sprawców. A może wcale nie smutne?

Jak byśmy się czuli, gdyby władze Niemiec były tak ostentacyjnie wrogo nastawione do Polski, jak władze Polski są w stosunku do Niemiec? Nasze ujadanie pod niemieckim płotem odbierane jest w Niemczech jako spóźnione odreagowywanie zadawnionego i nieuleczonego poczucia krzywdy.

Niemcy są więc wyrozumiali, choć na pewno nie wszyscy. Kolejne pokolenia niemieckich polityków nie będą już tak bardzo przejmować się wojną sprzed stulecia, a za to pamiętać będą urągających Niemcom premierów i prezydentów Polski. Za harce PiS zapłacimy w przyszłości jakąś trudną dziś do ustalenia cenę. Mamy jednak szczęście – kolos, którego PiS gryzie po kostkach, jest łagodny i cierpliwy. Wynika to nie tylko z opartej na (słusznym) poczuciu winy doktryny niereagowania na zniewagi mające w tle sprawę nazistowskiej przeszłości Niemiec, lecz przede wszystkim z mądrości politycznej tego państwa i tego społeczeństwa.

Niemcy wiedzą, że są potężni. A potężnemu państwu nie wypada reagować na zaczepki mniejszego, zniżając się do poziomu populistycznych harcowników, którzy przejściowo sprawują władzę po drugiej stronie granicy.

Jednakże tym, co sprawia, że Niemcy pomimo chamstwa PiS wciąż sprzyjają Polsce, jest świadomość niemieckich elit, że to się Polakom po prostu należy niezależnie od tego, kto w Polsce rządzi, i że nie można pozwolić, aby jakiś Kaczyński zmusił Niemcy do zboczenia z raz na zawsze obranego kursu ideowego. Tak jak niegdyś największym zagrożeniem dla Europy był radykalny niemiecki faszyzm, tak dziś najlepszą gwarancją pokoju i spokoju w Europie jest radykalny niemiecki antyfaszyzm. I PiS doskonale o tym wie.

JAN HARTMAN

eprasa.pl ae127a61eb

Karoseria droższa niż życie

Umrzeć, jak to łatwo powiedzieć.

Mam świetną wiadomość – Polacy mają Boga w dupie! Tak by przynajmniej wynikało ze statystyk, a te są nieubłagane – rodacy wolą wziąć sprawy w swoje ręce niż poddać się przypadkowi. Na szczęśliwy traf można liczyć w lotto albo w oczekiwaniu na wynik testu na chorobę weneryczną, ale nie w tak ważnej kwestii jak życie. A właściwie jego zakończenie. Polacy częściej zaliczają zgon (w dosłownym tego znaczeniu) przez samobójstwo niż w wyniku wypadków drogowych. Choć to brzmi niewiarygodnie, dorośliśmy do odpowiedzialności.

Serwis Ciekaweliczby.pl wziął na warsztat dane z ostatnich 23 lat i porównał statystyki dotyczące wypadków samochodowych i samobójstw. W 1999 r. prawie 1,5 raza więcej osób uległo ostatecznej dekompozycji cielesnej w wyniku nieszczęśliwego zdarzenia drogowego niż skutecznie przeprowadzonego autoholokaustu. W 2022 r. proporcja uległa nie tylko zamianie, ale i spuchła jak kilkudniowe zwłoki poza lodówką – 2,7 razy więcej obywateli i obywatelek postanowiło się odjebać, niż dokonało żywota gdzieś między wgniecioną blachą a asfaltem.

W 2022 r. w wyniku zdarzeń drogowych glebę użyźniło 1896 osób, natomiast samobójcy przelicytowali ofiary wypadków z udziałem aut i dobili (siebie w pierwszej kolejności, he, he) do liczby 5108!

W 1999 r. na samobójstwo postawiło 4659 duszyczek, a los, ten okrutnik, przerobił na mielonkę 6730 uczestników ruchu drogowego.

Czy to szokujące? Jeden rabin powie „tak", drugi „nie". Wygląda na to, że albo Polacy jeżdżą bezpieczniej, albo domagają się w drodze nietypowego referendum wprowadzenia eutanazji. Kto by się spodziewał?

Niech pierwszy rzuci kamieniem, kto nie jechał maluchem w siedem osób po flaszkę do monopolowego na drugim końcu miasta po nocy. Na mnie nie patrzcie, za moich czasów do tego celu służyło zdezelowane seicento koleżanki. Żarty na bok, bo sprawa jest poważna jak wezwanie do urzędu skarbowego: choćbyśmy jako naród zarzekali się i zaklinali na macice matek, że co to, to nie my, z roku na rok jeździmy bezpieczniej. Na to wynaturzenie w „Indeksie polskości" złożyło się kilka czynników.

Polski krajobraz nie przypomina już (a przynajmniej nie tak często) kiczowatego pastiszu weduty – drogi, po których jeździmy, są coraz lepsze. Tylko tyle i aż tyle, bo jednak przemieszczenie się z punktu A do punktu B pojazdem kołowym nie gwarantuje już niezamierzonego spędzenia płodu, względnie ataku padaczki w wyniku wytrzęsienia dupy na wertepach.

Rys. TOMASZ WIATER

Przez tę paskudną Unię Europejską tak się porobiło, że więcej fur do Polski trafia legalnie niż w wyniku kradzieży. Krótko mówiąc, jeździmy coraz lepszymi samochodami. Te często są wyposażone w systemy pozwalające uniknąć rozpierdolu na drodze albo złagodzić jego skutki. I nie czarujmy się, nawet pospawane składaki dają większą szansę na ucieczkę spod kosy kostuchy niż plastikowe mydelniczki z silnikami na sznurku. Śrubowanie przepisów i kontrole ruchu drogowego też zakonnicy spod habitu nie wypadły. Zanim jednak kogoś poniesie i postanowi wsadzić rękę w majtki, żeby uczcić to małe zwycięstwo życia nad śmiercią, przypomnę, że jeśli chodzi o bezpieczeństwo na drodze, wciąż jesteśmy w napletku Europy. Wskaźnik śmiertelności na drogach to 51 umarlaków na milion mieszkańców, natomiast w tak cywilizowanym kraju jak Szwecja to tylko 21 ofiar.

Dlaczego więc proporcje tych dwóch statystyk z zakresu przyczyn gumkowania Polaków tak się zmieniły? To proste, bo i w innych dziedzinach daleko nam do Szwecji.

Jesteśmy narodem zaharowujących się niedoleczonych wiecznych biedaków z perspektywą śmierci głodowej, ewentualnie w wyniku jakiejś paskudnej choroby, z którą zachodni świat już sobie poradził, a my wciąż wiążemy bebechy na supły i robimy głupią minę do złej gry.

Wiecie, z czym Polak najchętniej je tosty? Z nadzieją, że się zadławi i zdechnie. Odpowiedzialnie bierzemy byka za rogi i spieszymy się umierać, zanim zabije nas coś gorszego niż my sami. Bo nawet, kurwa, na wypadek samochodowy nie można już liczyć w tym kraju.

IDALIA DUBICKA

800 70 2222
to całodobowa linia wsparcia dla osób w kryzysie psychicznym.

10 września obchodzony był Dzień Zapobiegania Samobójstwom.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Rozwodów nie będzie

PiS zniewala procentami.

Oprocentowanie bezpiecznego kredytu 2 procent naprawdę wynosi 5 proc. Pożyczkę na mieszkanie bierze się na 30 lat. Państwowa dopłata do odsetek będzie tylko przez jedną trzecią tego okresu. Przez te 10 lat nie wolno będzie ani się rozwieść, ani przeprowadzić, ani nawet przyjąć do mieszkania sublokatora. Na dodatek kwota, którą państwo dołoży do spłaty kredytu, i tak jest niższa od zwyżki cen mieszkań, która nastąpiła po tym, jak władza ogłosiła program wsparcia kredytobiorców. Państwo PiS, zamiast chronić obywateli przed przekrętami, wpakowało dziesiątki tysięcy Polaków w kanał, jakiego nie zna cywilizowany świat.

Aneksowanie króliczka

Dziś osoby, które wzięły w ostatnich latach kredyt hipoteczny, płacą ok. 6 proc. od niespłaconego kapitału rocznie. Zdawać by się więc mogło, że zachwalany przez rząd i reklamowany przez banki dwuprocentowy kredyt to więcej niż 500+, trzynastka i czternastka razem wzięte.

Naród rzucił się więc z wnioskami o pożyczki, wcześniej wyszukując lokale, w których chciałby mieszkać. Ludzie pozawierali umowy przedwstępne z deweloperami i osobami, które sprzedają jakąś nieruchomość. Wszyscy liczyli, że dwumiesięczny czas takiej umowy zaklepania wystarczy, by bank przekalkulował zdolność kredytową i zawarł umowę. Nic z tego. Banki procedują już nad wnioskami trzeci miesiąc i nie sądzę, żeby umowy były gotowe w ciągu następnych dwóch. Ludzie sprzedający mieszkania, widząc, że każdego miesiąca cena lokalu idzie w górę o kilka procent, umów przedwstępnych nie chcą przedłużać. Proponują nowe. Na znacznie wyższą kwotę. Nabywcy, nie mając wyjścia, zgadzają się i muszą robić aneksy do wniosków o kredyt, czyli prosić banki o dużo więcej kasy. Aneksy dodatkowo opóźniają podpisywanie umów. Przez co i nabywcy, i sprzedający przeżywają dramat.

Moc procentowa

To jeszcze i tak nic. Kredyt 2 proc. tak naprawdę jest kredytem 2 proc. plus marża banku i prowizja. Nie wspominając o tym, że aby dostać pożyczkę hipoteczną, należy spełnić mnóstwo wymogów bankowych, które kosztują czasem wiele tysięcy złotych. Dzięki temu już w lipcu fachowcy wyliczyli, że kredyt na 2 proc. jest tak naprawdę na niemal 5 proc. albo i więcej.

„Rzeczywista Roczna Stopa Oprocentowania (RRSO) dla wypłaconego jednorazowo bezpiecznego kredytu 2 proc. w PKO Banku Polskim zabezpieczonego hipoteką wynosi 4,96 proc." – oświadczył bez wstydu państwowy wszak bank.

Równie państwowy, czyli pisowski, Alior Bank też wystosował komunikat, że „Rzeczywista Roczna Stopa Oprocentowania dla wypłaconego jednorazowo kredytu bezpieczny kredyt 2 proc. wynosi 5,73 proc.".

Bank Pekao również jest państwowy, a oprocentowanie dwuprocentowego kredytu ma niższe niż Alior Bank o cały procent. Bo jak napisał: „Rzeczywista roczna stopa oprocentowania bezpiecznego kredytu hipotecznego wypłaconego jednorazowo wynosi 4,72 proc.". Bank Pekao udziela więc najtańszych pożyczek hipotecznych, a i tak 2 proc. to dla niego prawie 5 proc.

Dopłata mniejsza niż wzrost

Kasa, którą będzie do każdego kredytu dopłacało państwo, wyniesie według analityków średnio 12 tys. zł rocznie. Przez 10 lat obowiązywania umowy o bezpiecznym kredycie będzie tego ok. 120 tys. zł.

Tymczasem nim w grudniu rząd ogłosił pomysł dwuprocentowego kredytu, mieszkania taniały. W Krakowie metr kwadratowy mieszkania kosztował wtedy 11 tys. zł. W stolicy był o 2 tys. zł droższy.

Kiedy nad projektem debatował rząd, po nim posłowie i senatorowie, a potem projekt czekał na wejście w życie, rynek mieszkaniowy przeżywał rewolucję. Rewolucja polegała na tym, że w sierpniu w Krakowie metr mieszkania był już po 14 900 zł, a w Warszawie po 15 600 zł. Czyli pod Wawelem ceny mieszkań skoczyły o 35 proc., a pod Pałacem Kultury o 20 proc. Średnio w kilka miesięcy w skali kraju mieszkania podrożały o jakąś jedną czwartą.

Gdyby liczyć wartość lokalu mającego 50 m kw., to w Krakowie dzięki polityce rządu takie lokum jest dziś droższe niż 9 miesięcy temu o 195 tys. zł. W Warszawie „ledwie" o 130 tys. zł.

I na te droższe mieszkania ludzie stoją dziś w kolejkach po kredyty.

Rys. MARCIN CHUDZIK

Kredyty, których tylko część zostanie spłacona przy wsparciu państwa. Kredyty na mieszkania, których wartość wzrosła o więcej, niż wyniesie państwowa zapomoga.

Człowiek szukający kredytu na mieszkanie na bezpiecznym kredycie nie zyska. Polski podatnik, który państwowe dopłaty przecież musi sfinansować, też dostanie po tyłku.

Kto zatem zarobi? Ci, co u Morawieckiego zarabiają zawsze. Czyli banki. To one przecież kredytują i nabywców mieszkań, i deweloperów te mieszkania budujących. Oczywiście zarobią też deweloperzy.

Kogo stać na kredyt

Na szczęście dla niemających pojęcia o ekonomii Polaków włożyć głowę w pętlę bezpiecznego kredytu nie jest łatwo. Najniższa krajowa wynosi 3600 zł brutto. Jeśli ktoś tyle zarabia i jako singiel stara się o 500 tys. zł bezpiecznego kredytu, to nie ma możliwości, by pożyczkę dostać.

W Katowicach czy w Częstochowie 200 tys. zł wystarczy, by singiel kupił kawalerkę. Musi zarabiać jednak 3100 zł miesięcznie na rękę. W Warszawie, żeby móc się starać o bezpieczny kredyt na kawalerkę, trzeba zarabiać ponad 6 tys. zł na rękę.

Dla rodziców z jednym potomstwem ustawowa kwota maksymalna bezpiecznego kredytu rośnie do 600 tys. zł. Zarobki rzędu 8 tys. zł wystarczą im, by dostać z banku tyle, aby kupić nawet trzypokojowe mieszkanie w Poznaniu, Lublinie, Białymstoku, Łodzi czy w Zielonej Górze.

Rodzina 2+1 przy zarobkach 8 tys. zł na rękę w Warszawie czy Krakowie kupi sobie za kredyt klitkę. Dziś – bo przecież ceny mieszkań co miesiąc rosną o kilka procent.

10 lat niewoli

Kredytem 2 proc. PiS wiąże ludzi na 10 lat. Oznacza to, że tysiące ludzi staną się niewolnikami mieszkań kupionych za bezpieczny kredyt. Ustawa nałożyła na kredytobiorcę 10-letnie obowiązki, godzące tak naprawdę w wolność człowieka i obywatela.

Najmniejszą z dolegliwości jest to, że do mieszkania czy domu „bezpiecznie skredytowanego" trzeba się wprowadzić w terminie 24 miesięcy od nabycia prawa do lokalu lub zakończenia budowy domu.

Gorzej, że przez dekadę nie wolno takiego lokum sprzedać ani nawet zbyć swojej części na rzecz drugiego z kredytobiorców. De facto oznacza to, że małżeństwom z takim kredytem nie wolno się rozwieść.

Nawet gdyby się w ciągu 10 lat popadło w tarapaty finansowe, to nie wolno takiej chałupy ani nawet pokoju komukolwiek wynająć. Tak samo jak nie wolno pod zakredytowanym adresem zarejestrować działalności gospodarczej, choćby to była tylko księgowość czy biuro pisania listów.

Nie daj Bóg kupić też w ciągu tych 10 lat jakąś nieruchomość, nawet domek letniskowy czy budkę w ogródkach działkowych.

Kredytobiorca ma też zakaz wyjeżdżania za granicę, żeby zarobić na spłatę kredytu, na dłużej niż 12 miesięcy. Umierać kredytobiorcy też w ciągu dekady nie wolno. Zwłaszcza jak jest tym jedynym, który z racji wieku spełniał warunek przystąpienia do bezpiecznego kredytu, czyli miał mniej niż 45 lat.

Na tym jednak nie koniec zakazów. Nie wolno kredytobiorcy pozwolić ze sobą mieszkać dziecku siostry, brata czy kogokolwiek. Nie wolno też przyjąć męża czy żony, która potulnie po latach chce znów z nami być. Dziecka, które straciło własny dom, też nie. I nawet gdyby przez 10 lat inflacja zwariowała, to nie wolno nam negocjować z bankiem zmiany sposobu kredytowania takiego mieszkania. A gdybyśmy uzyskali spadek lub wygrali w totka, to za ten szmalec nie wolno nam spłacić przed upływem 3 lat nawet złotówki zaciągniętego kapitału.

Naruszenie każdego z tych zakazów powoduje, że dopłaty do kredytu natychmiast wygasają, a te już udzielone podlegają zwrotowi do Rządowego Funduszu Mieszkaniowego wraz z odsetkami ustawowymi.

Mateusz Morawiecki mógł więc z przekonaniem powiedzieć, że odbierający ludziom wolność program taniego kredytu mieszkaniowego to dotrzymanie obietnic Prawa i Sprawiedliwości.

TADEUSZ JASIŃSKI

eprasa.pl ae127a61eb

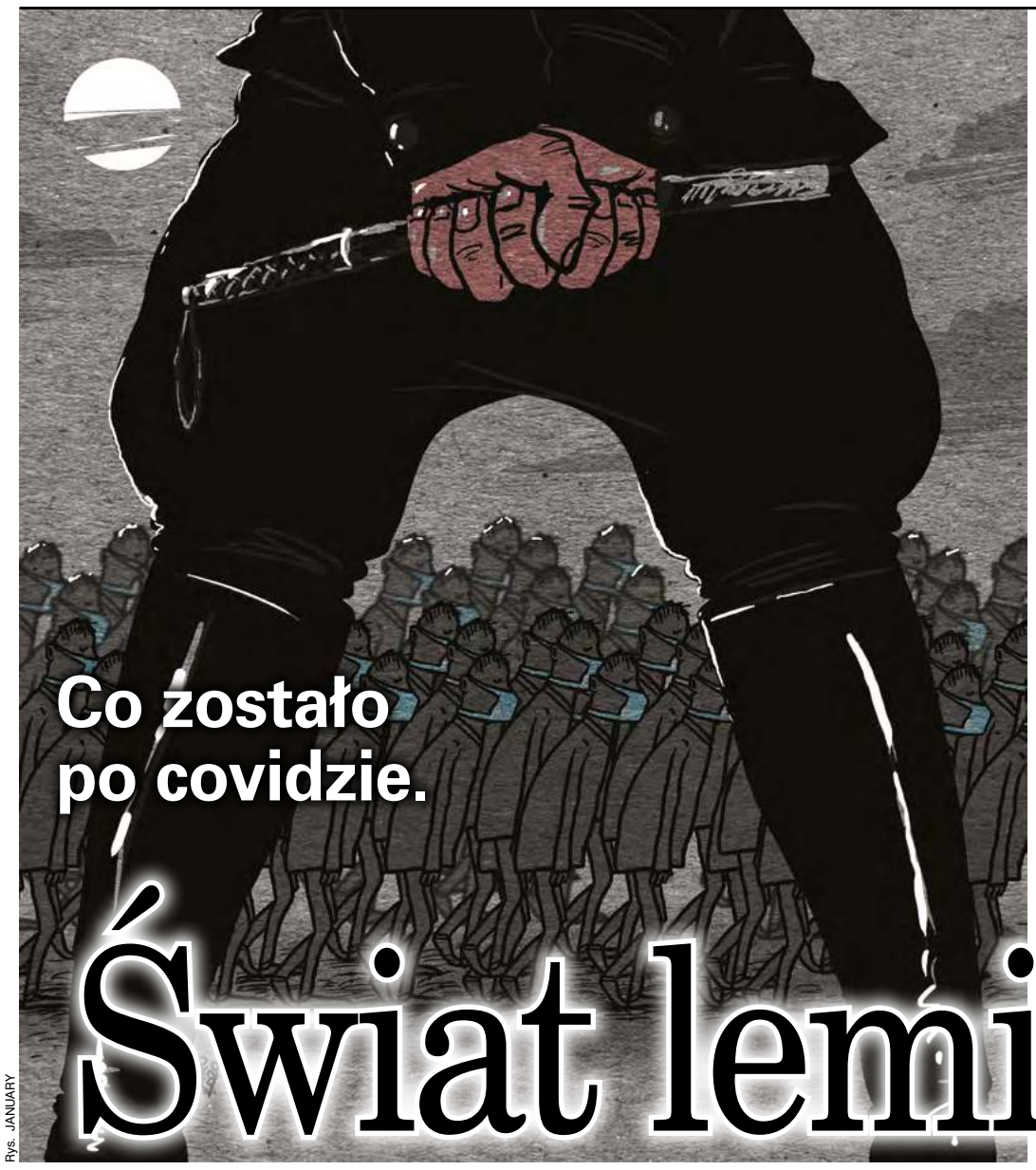

Rys. JANUARY

Co zostało po covidzie.

Świat lemingów

Kryzys dla starożytnych nie był niczym złym. To po prostu stan przesilenia w chorobie, w wyniku którego człowiek może co prawda trafić do piachu, ale też wyzdrowieć. Kryzys spowodowany pandemią koronawirusa był (jest?) jednym z najważniejszych w obecnym stuleciu. Rodzi szereg poważnych pytań.

Jeśli pacjentem jest nasz gatunek, to… czy sprawdziło się powiedzenie, że co nas nie zabije, to nas wzmocni? Czy nie jesteśmy jak te lemingi, które biegną co tchu ku przepaści?

Kto zjadł nietoperza

Zapewne pandemię koronawirusa COVID-19 rozpętał jakiś nieszczęśnik lub nieszczęśnica, którzy kupili na targu i zjedli nietoperza w chińskim Wuhanie. Choroba odzwierzęca rozprzestrzeniała się po zglobalizowanym świecie z zatrważającą szybkością, zbierając krwawe żniwo i rujnując życie setek milionów ludzi na całym globie.

Szybko okazało się, że w obliczu kryzysu pandemicznego świat – i to dosłownie! – stanął w miejscu. Zamarł międzynarodowy cywilny ruch lotniczy. Przerwane zostały wieloletnie łańcuchy globalnej produkcji przemysłowej. Chiny, czyli największa fabryka świata, wprowadziły twardy lockdown, praktycznie zamykając granice. Nieprzeliczone rzesze ludzi musiały zostawać w domu – rzecz jasna, o ile takowy posiadały – często tracąc jedyne źródło dochodów. Kolejne narażały zdrowie i życie swoje i najbliższych, wykonując pracę sprzątaczek, salowych w szpitalach, kurierów czy listonoszy.

Rządy wielu państw, które od dekad prowadziły mniej lub bardziej neoliberalną politykę oszczędności i polegania na biznesie przy rozwiązywaniu wszelkich problemów społecznych, wpompowały w swoje gospodarki zyliony dolarów, euro czy funtów, aby uchronić ekonomię przed kompletnym rozpadem. Nagle wyszło na jaw, że jakość usług publicznych (zwłaszcza powszechnie dostępnej bezpłatnej opieki zdrowotnej) nie jest kwestią jałowych debat technokratów, lecz sprawą życia i śmierci ludzi, zwłaszcza najsłabszych – biednych, starych, że o pozbawionych edukacji dzieciach nie wspomnę.

Mój dom murem podzielony

Zygmunt Bauman pisał przed laty, że strach przed śmiercią jest praojcem wszystkich lęków i strachów. Człowiek jak każda istota jest śmiertelny, ale – na swoje nieszczęście! – wie o tym, że umrze. Stąd zagrożenie dla naszej biologicznej egzystencji i zdrowia wywołuje wielkie poruszenie u nieomal każdej jednostki. I nawet ci, co wierzą w życie pozagrobowe, uznają zdrowie za jedną z najważniejszych wartości.

Pandemia była niczym pryzmat, który najlepiej uwydatnił istniejące podziały społeczne, ekonomiczne, geograficzne, rasowe, religijne czy płciowe. Widać to najwyraźniej na przykładzie bogatych Stanów Zjednoczonych, kraju, który od dekad konsekwentnie stawiał na wolny rynek jako panaceum na wszelkie bolączki, a jego publiczna służba zdrowia była chronicznie niedoinwestowana.

W szczytowym momencie wczesnej fali pandemii w Ameryce w kwietniu 2020 r. na 10 białych, którzy zachorowali na koronawirusa, przypadało 30 czarnych i 28 Latynosów. Później dysproporcje rasowe, kiedy upowszechniły się szczepionki, zmalały.

A już szczególnie przejebane mieli imigranci. Jak ujmuje to Grant E. Rissler w wydanym w tym roku tekście „Immigrant Equity and Lessons from the Triple Pandemic", „brutalne wczesne żniwo, jakie zebrała pandemia wśród bogatych w imigrantów społeczności mniejszości rasowych i etnicznych, wyłoniło się z długotrwałych nierówności, z którymi imigranci borykali się przed pandemią". Nie mieli oni środków, aby się zabezpieczyć. Musieli wykonywać obowiązki wymagające kontaktu z innymi, co groziło zachorowaniem.

Kiedy nowojorscy bogacze przeprowadzali się czasowo do swych położonych w wyjątkowych okolicznościach przyrody posiadłości i pracowali zdalnie, obsługujący ich dostawcy pizzy, kurierzy, śmieciarze – często ludzie kolorowi – ryzykowali życie.

Jak słodko zostać świrem

Big Cyc przed laty śpiewał w jednej ze swoich piosenek: „Jak słodko zostać świrem choć przez chwilę". Pandemia stała się manną z nieba dla wszystkich, którym powtarzano, że mają się zaszczepić, nosić w miejscach publicznych maseczki, unikać wychodzenia z domu. W obliczu nieznanego w ich życiu zagrożenia zareagowali oni agresją i paranoją. Zaczęły plenić się niczym chwasty teorie spiskowe – a to, że Bill Gates wszczepia ludziom czipy. A to, że pandemia to chiński spisek, aby rzucić na kolana Zachód. A to, że koronawirus to spisek lewactwa i ekologów, bo szczepionki wywołają bezpłodność, redukując w przyszłości populację ludzką o 90 proc.

Myślenie spiskowe ma zawsze silne podłoże kulturowe. Im więcej w danym miejscu jest niesprawiedliwości, nierówności, braku czytelności działań władzy oraz podejrzeń, że formalnie rządzący są niewiele więcej niż marionetkami w rękach potężnych, przez nikogo niewybieranych sił, tym lepiej ma się myślenie kategoriami spiskowymi. Z jednej strony odżywają stare schematy rojeń o zakrojonej na wielką skalę konspiracji, choćby żydowskiej czy islamskiej. Z drugiej – pojawiają się nowe pseudoteorie, wpisujące się w stare schematy i różne mniej lub bardziej uzasadnione lęki i obawy.

Warto pamiętać, że myślenie kategoriami spiskowymi odpowiada na zrozumiałą ludzką tęsknotę za prostymi wyjaśnieniami, czynienie tego, co nieznane, znanym. Jeśli ktoś uważa, że Waszyngton czy Bruksela czyhają na jego wolność, dążąc do zaprowadzenia nowego ładu globalnego (New World Order, czyli NWO), dyktatu totalitarnego rządu, trzymającego za mordę wszystkich niepokornych, to wszelkie pandemiczne limity, w tym ograniczenia swobody poruszania się, uzna być może za sprytnie przemyślane kroki na rzecz NWO. Stąd tylko krok do twierdzeń, że w szpitalach nie było chorych na covid, lecz wynajęci aktorzy, a rzekomi nieboszczycy to tak naprawdę fantomy.

Jebać biedę

To jesteśmy lemingami ze skłonnościami samobójczymi czy nie? Odpowiedź na to pytanie jest nader pouczająca.

Jak wiadomo, jeden obraz jest wart tysiąca słów. Przekonanie o samobójczych skłonnościach tych futrzaków wzięło się z filmu przyrodniczego Walta Disneya „White Wilderness", który ukazywał scenę zbiorowego samobójstwa lemingów, które skakały z przepaści do morza. Widzowie nie wiedzieli jednak, że tak naprawdę sympatyczne zwierzaki zostały przywiezione w to miejsce ciężarówkami. A zatem rzekome samobójstwo było faktycznie morderstwem popełnionym z zimną krwią.

Oczywiście, bzdurne i paranoidalne jest myślenie, że pandemia i jej skutki to spisek nielicznych bogatych i potężnych, aby wymordować masy biednych i bezsilnych. Tak nie było.

Państwo jednak, jak pisali Marks i Engels w „Manifeście komunistycznym", jest organizmem zarządzanym przez komitet kapitalistów. A ci już postarali się, aby strumień środków publicznych w wielu krajach na świecie skierowano do tych, którzy już i tak mieli masę pieniędzy.

Oni nie umierali z powodu braku tlenu w Indiach, a w takiej Rosji choćby naprawdę majętni kupili własne respiratory i zapewnili sobie prywatny personel medyczny, który w razie kłopotów się nimi opiekował.

Jak wiadomo, optymista tym się różni od pesymisty, że ten pierwszy uważa, że gorzej już być nie może (bo jakby mogło, toby było), a pesymista jest odmiennego zdania. Wszystko wskazuje na to, że krok po kroku, niszcząc kolejne ekosystemy i przyrodę w imię zysku, podcinamy gałąź, na której siedzimy. Ci, którzy za to odpowiadają, nie byli tymi, którzy najbardziej ucierpieli w wyniku pandemii, nie okażą się też zapewne tymi, których najbardziej dotkną przyszłe kataklizmy. Nie będzie to jednak zemsta natury na swoim wyrodnym dziecku człowieku, lecz proste konsekwencje naszych własnych działań.

Kolejna, być może po wielekroć straszniejsza pandemia to tylko kwestia czasu. Nie jest to bynajmniej czarnowidztwo, ale jedyny logiczny wniosek z tego, co się dzieje w skali planetarnej. Czy także będzie to stracona szansa na bardziej ludzki i sprawiedliwy świat? Prędzej czy później się o tym przekonamy, oby nie tragicznie boleśnie…

KATARZYNA KOENIG

Orzeł w kondomie

Polska po pandemii.

Mam dylemat, jak opisać krajobraz Rzeczypospolitej po pandemii. Bo z jednej strony skłaniam się ku określeniu „państwo z dykty lub kartonu", z drugiej natomiast bardziej adekwatne wydaje mi się mniej metaforyczne: „chuj, dupa i kamieni kupa". Pisowska władza marniutko sobie poradziła z koronawirusem, sporo sypnęła kasą biznesowi, marnotrawiła publiczny głos, rękami Trybunału Konstytucyjnego Przyłębskiej praktycznie zdelegalizowała aborcję. I uczyniła wszystko, co było w jej mocy, aby poszerzyć zakres własnej władzy i nabić kabzę krewnym i znajomym królika.

Kiedy w zeszłym tygodniu Najwyższa Izba Kontroli opublikowała raport podsumowujący, jak polskie państwo radziło sobie z pandemią, żył on w mediach może ze dwa dni. Jak czytamy na stronie Izby, na początku pandemii nikt z organów państwa, w tym służba zdrowia, nie był przygotowany na wybuch epidemii: „Mimo to władze nie ogłosiły stanu klęski żywiołowej, a zamiast tego poprzez specustawę covidową wprowadziły zmiany w przepisach, na podstawie których narzucano jeszcze dalej idące ograniczenia, zakazy i nakazy. Specustawa zniosła także mechanizmy zabezpieczające prawidłowe wydawanie środków publicznych", Kancelaria Premiera i Ministerstwo Zdrowia wydały ponad 82 mln zł na „niekompletne, niesprawne lub niespełniające polskich norm respiratory".

Prostą drogą na cmentarz

Kaczyści rządzili już pięć lat, gdy wybuchła pandemia. Wykorzystali COVID-19 do obsadzenia swojakami spółek Skarbu Państwa, walki z sądami, tuczenia kleru – zwłaszcza swego kumpla Rydzyka, podporządkowania sobie mediów publicznych (bliżej im, co oczywiste, do domów publicznych niż do służby publicznej) i pasienia forsą państwowych firm usłużnych pismaków, demolowania systemu edukacji (likwidacja gimnazjów) i wydawania grubych miliardów na broń.

Nie dziwota, że zabrakło rządzącej prawicy czasu, energii i środków, by zająć się znajdującymi się w tragicznym stanie służbą zdrowia i opieką nad osobami zależnymi, w tym dziećmi, starszymi i niepełnosprawnymi.

W 2020 r. wydatki publiczne na zdrowie w Polsce były jednymi ze stosunkowo najniższych w krajach rozwiniętych. Sięgały zaledwie 4,7 proc. PKB.

Wedle oficjalnych danych GUS-u liczba zgonów w naszym kraju w 2021 r. przekroczyła o niemal 154 tys. średnioroczną wartość z ostatnich 50 lat (519,5 do 366 tys.). W trakcie pandemii (od marca 2020 do czerwca 2022 r.) liczba nadmiarowych zgonów w porównaniu do lat 2016–2019 była u nas trzecią najgorszą w Europie, zaraz po Rumunii i Bułgarii. Jak pisał w grudniu ub.r. „Dziennik Gazeta Prawna", Polska fatalnie na tle państw UE wypada także pod kątem długości życia obywateli – po pandemii zmniejszyła się ona średnio aż o 2,4 roku, dwa razy więcej od średniej unijnej!

Rys. WIDGET

Ostatni zgasi światło

Wisienką na torcie pisowskiej pychy – która, jak wiadomo, kroczy przed upadkiem – był wyrok TK, czyniący nielegalną aborcję ze względu na wady płodu. Uznano, że skoro zabroniono wychodzić z domu, żadnych większych protestów nie będzie. W wyniku orzeczenia trybunału lekarze bali się w ogóle przeprowadzać skrobanki, nawet legalne, co wysłało na tamten świat kilka kobiet. I jakoś mało kogo obeszło, że ówczesny wicepremier Kaczyński chciał podobno wyprowadzić wojsko na ulice, aby stłumić kobiece protesty.

Na efekty pisowskiej determinacji we włażeniu klerowi do dupy, a kobietom do macic był szokujący – mimo 500+ nastąpił spadek dzietności Polek. W 2022 r. urodziły one zaledwie 305 tys. dzieci, najmniej w historii. Na kobietę w wieku reprodukcyjnym przypadło zaledwie 1,26 dziecka, co jest czwartym najgorszym wynikiem w UE.

Wyludnienie kraju nad Wisłą i Odrą, jeśli nie podejmie się skutecznych kroków, będzie galopowało w zastraszającym tempie. W tym kontekście apeluję o pobłażliwość i wyrozumiałość prokuratorów dla pisowskich urzędników, którzy załatwiali Hindusom czy Nigeryjczykom lewe wizy wjazdowe do Polski: oni po prostu troszczyli się o przyszłość Rzeczypospolitej, niknącej demograficznie w oczach!

K.K.

eprasa.pl ae127a61eb

Depresja Przyłębskiej

Budynek w budowie.

Zapewne nie wiecie, bo nie należycie do pasażerów pierwszej klasy pociągów Pendolino tak jak ja, a słowo miliard jest wam tak obce, że nie wiedzielibyście, czy pisać je przez „i" czy przez „jot", że świat biznesu został w sierpniu wstrząśnięty. Dostał zadyszki, a może były i zawały, ale również wzwody i orgazmy. Trybunał Konstytucyjny, czyli taki sąd, który ma nad sobą tylko Boga i konstytucję, uznał, że nie może wiedzieć, czym różni się budowla od budynku.

Prasa łososiowa, znaczy drukowana na różowym papierze (o tym, jak zarobić i się nie narobić), krzyczała z pierwszych stron o przełomie i rewolucji, ponieważ nigdy dotąd Trybunał Konstytucyjny tak jednoznacznie nie wypowiedział się o swojej niewiedzy. Co więcej, ta niewiedza wynikająca rzekomo z ustawy jest niezgodna z konstytucją. Co za tym idzie, owa ustawa też jest niezgodna z konstytucją i jeżeli sejm jej nie napisze od nowa, będzie nieważna, choć przez ostatnie 32 lata była ważna.

Rys. BARTŁOMIEJ BELNIAK

Budowla to nie budynek

Różnica między budowlą a budynkiem musi być kolosalna, czego oczywiście nie wiecie, bo w gruncie rzeczy właścicielami budowli w Polsce jest naprawdę bardzo niewielu Polaków. A posiadanie budowli to szczęście w nieszczęściu lub lepiej to ująć nieszczęście w szczęściu. W zależności, kto z której strony patrzy.

Zacznijmy od początku, który znajduje się w Kruszwicy, gdzie stoją podobno, według oświadczenia zainteresowanego, największe zakłady tłuszczowe w tym kraju, przerabiające nasiona różnorakiego zielska na margaryny i oleje (Kujawski).

Ongiś nazywały się ZT Kruszwica, ale od pewnego czasu nazywają się Bunge. Dokładniej Bunge Polska sp. z o.o. Bunge Polska sp. z o.o należy do ponadnarodowego koncernu Bunge mającego fabryki od Teksasu po Koreę, którego siedziba mieści się w Holandii. Ale to nie jest pewne, bo w trakcie pisania tego tekstu lokalizacja mogła zostać przeniesiona do Szwajcarii lub Palermo.

Oni mają tam w tej fabryce tak zwane silosy, w których trzymają wspomniane nasionka. Obiekty zgodnie z danymi księgowymi warte są jakieś 20 mln zł*.

Procenty ponad złotówki

I teraz ci Holendrzy, a może już Szwajcarzy nie wiedzą, czy te silosy to są budowle, czy są to budynki. A to bardzo ważne, bo jeżeli są to budynki, to Urząd Gminy Kruszwica otrzymałby od tych silosów podatek liczony z metra kwadratowego powierzchni użytkowej, wynoszący 26 zł 88 gr. Natomiast jeżeli byłyby to budowle, to do kasy gminnej wpływałoby 2 proc. wartości owych silosów.

W cywilizowanych krajach to ostatnie nazywa się katastrat i nie dajcie się zmylić, że w Polsce go nie ma. Osoby posiadające budowle w Polsce płacą podatek katastralny. Co bardziej niesprawiedliwe, liczony jest on zawsze od wartości początkowej budowli, która przecież po 10 latach eksploatacji, zgodnie z zasadami polskiej księgowości, jest o 25 proc. niższa.

Intuicyjnie rzecz biorąc, 2 proc. wartości silosu to jest dużo, dużo więcej niż 26 zł z jego metra powierzchni użytkowej. Bardzo, bardzo długo zakłady tłuszczowe opłacały się budżetowi gminy Kruszwica tymi wyższymi podatkami, ale zmieniła się struktura korporacji Bunge w Polsce. Nowy księgowy doszedł do przekonania, że tak wcale być nie musi. Oprotestowano tę stawkę. Sprawa przeszła przez wszystkie instancje sądowe, w efekcie czego orzeczono, że dotychczasowy sposób naliczania podatku od silosu jak od budowli jest słuszny (2 proc. wartości).

Nie ma silosów

Natomiast Holendrzy nie dali się tak łatwo przekonać, albowiem w ustawie o podatkach i opłatach lokalnych jest napisane, że o charakterze czegoś pobudowanego ręką człowieka decyduje prawo budowlane. Tam jasno jest napisane, co jest budowlą, a co budynkiem. Budowlami są: obiekty liniowe, lotniska, mosty, wiadukty, estakady, tunele, przepusty, sieci techniczne, wolno stojące maszty antenowe, wolno stojące trwale związane z gruntem tablice reklamowe, urządzenia reklamowe, budowle ziemne, obronne, fortyfikacje, ochronne, hydrotechniczne, zbiorniki, wolno stojące instalacje przemysłowe, urządzenia techniczne, oczyszczalnie ścieków, składowiska odpadów, stacje uzdatniania wody, konstrukcje oporowe, nadziemne i podziemne przejścia dla pieszych, sieci uzbrojenia terenu, budowle sportowe, cmentarze, pomniki, części budowlane urządzeń technicznych (kotłów, pieców przemysłowych, elektrowni jądrowych, elektrowni wiatrowych, morskich turbin wiatrowych i innych urządzeń) oraz fundamenty pod maszyny i urządzenia.

A zatem skoro w tej wyliczance nie ma silosów, to muszą one być budynkami, a nie budowlami. Nie ma zatem takiego prawa w Polsce, na podstawie którego kasowano Holendrów przez ostatnie kilkanaście lat na kilkaset tysięcy złotych rocznie, a mogłoby być to tylko kilkadziesiąt.

Poszli na skargę

Mimo przegranego procesu Holendrzy złożyli skargę konstytucyjną, w której czytamy, że ich silosy nie są budowlami, zatem ustawa o podatku i opłatach lokalnych musi być niezgodna z konstytucją.

Wskazali nawet na dwa punkty tej domniemywanej niezgodności. Art. 84 konstytucji: Każdy jest obowiązany do ponoszenia ciężarów i świadczeń publicznych, w tym podatków, określonych w ustawie (nie określono w ustawie). Art. 217: Nakładanie podatków, innych danin publicznych, określanie podmiotów, przedmiotów opodatkowania i stawek podatkowych, a także zasad przyznawania ulg i umorzeń oraz kategorii podmiotów zwolnionych od podatków następuje w drodze ustawy (nie ma ustawy).

Skoro nie ma w ustawie silosów, to nie ma podatku, w każdym razie liczonego na zasadzie katastratu.

Dwa lata myślenia

Pięciu sędziów Trybunału Konstytucyjnego myślało nad sprawą ponad dwa lata. Doszli do wniosku, do jakiego dojść mogli tylko sędziowie Trybunału Konstytucyjnego. Inżynierowie budowlani nie znają się na tym, co budują. Definicja budowli z prawa budowlanego jest zła. Na potrzeby prawa podatkowego stworzyć trzeba nową definicję budowli. A zatem zapis w prawie podatkowym odsyłający do prawa budowlanego jest niezgodny z konstytucją.

Zatem: a) trzeba go zmienić, b) do czasu zmiany w przypadku wątpliwości sądy mają orzekać według interesu płacącego podatki. Czego już Trybunał nie powiedział, ale wynika z praktyki sądowej, jeżeli sejm, którego jeszcze nie ma, nie zastosuje się do wyroku Trybunału Konstytucyjnego i nie wymyśli nowej definicji budowli w półtora roku, sądy będą orzekać według swego widzimisię (prawniczo się to nazywa: odwoływać do języka potocznego) i orzekać przeciw interesom gmin, miast i powiatów.

Ence pence, kto ma w ręce

Budżety samorządów lokalnych porównywalne są z budżetem państwa. Kształtują się w okolicach 400 mld zł rocznie. Około 11 proc. tej kwoty pochodzi z podatków gruntowych i od nieruchomości, które są niskie w przypadku mieszkania, np. w Kruszwicy 82 gr z metra. Ale 50 proc. z tych 11 proc. to są podatki od budowli.

Orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego może pozbawić samorządy jakichś 12 mld wpływów w skali kraju w przyszłości. Natomiast otwarło biznesmenom drogę do tak zwanych skarg wznowieniowych, czyli wnioskowania o zwrot niekonstytucyjnie zapłaconego podatku za lata ubiegłe.

Liczba tych skarg jest obecnie niewielka, a co najbardziej zaskakujące, Holendrzy z Kruszwicy, którzy byliby takim wznowieniem najbardziej zainteresowani, na razie z podobnym wnioskiem nie wystąpili.

Mówi się, że sprawa miała dla nich charakter honorowy i przewrotny. Otóż

> **jacyś wypasacze krów z kraju objętego permanentną depresją przyjeżdżają do suwerennej Polski, aby wyjaśnić jej władzom, że polskie ustawodawstwo niezgodne jest z konstytucją, o czym zapewne same te władze nie mogłyby się dowiedzieć.**

W każdym razie w pociągach Pendolino jest o czym gadać. Miliardy są do wyrwania. Czy to dobrze, czy źle?

No dobrze dla przedsiębiorców, gorzej dla samorządów, ale też jest nadzieja, że margaryna stanieje, jeżeli podatki od silosów będą niższe.

Gra o sumie zerowej

Jednym zatem przybędzie, drugim ubędzie, ale per saldo wszystko pozostanie bez zmian, co nie miałoby znaczenia, gdybyśmy żyli w sprawiedliwszym świecie. Od przesuwania mebli w pokoju ich nie przybywa.

To ważny wniosek, bo panowie obecnie rządzący Polską usilnie kłamią, że jest zupełnie inaczej. Jeżeli szafa zmieniła właściciela, no to jest więcej szaf – tak twierdzić będzie nowy właściciel szafy i to będzie prawda pod warunkiem, że o to samo nie spytamy tego, kto szafę stracił. Tak czy siak, samorządy znowu dostaną po kieszeni.

ROBERT JARUGA

* Wszystkie dane finansowe w tym tekście są siłą rzeczy przybliżone i szacunkowe. Nie było innego wyjścia. Dokładnych zapewne nikt nie posiada, bo mogą się zmieniać z godziny na godzinę.

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ Czeska policja ujęła czterech naszych rodaków, którzy ukradli 1,5 km trakcji elektrycznej nad linią kolejową między Ostrawą a Ołomuńcem. Ponieważ kradzieże na tym odcinku zdarzały się od czterech lat, przypisuje się im również ich sprawstwo. Jak Polacy odcinali przewody na wysokości 7 metrów pod napięciem 3 tys. woltów, Czechom nie udało się ustalić.

▮ Biedniejsi mieszkańcy, którzy pozbawieni zostali prawa jeżdżenia swoimi starszymi samochodami w tak zwanej strefie czystego transportu w Krakowie, zbierają podpisy przeciw uchwale Rady Miasta ustanawiającej ten wynalazek. Na dziś czystości w Krakowie nie chcą 3864 osoby.

▮ „Dzielnica leczniczo-rehabilitacyjna Ustroń-Zawodzie stanowi ikoniczny przykład wczasowej architektury socmodernistycznej, wykreowany przy wykorzystaniu walorów malowniczego usytuowania w miejscu stanowiącym atrakcję turystyczną regionu". Dlatego biuro śląskiego konserwatora zabytków wpisało do rejestru zabytków 17 budynków w kształcie piramid przy ulicach Szpitalnej, Sanatoryjnej i Zdrojowej mających mniej niż 50 lat. Być może słusznie, choć wykorzystywanie piramid w charakterze sanatoriów w Ustroniu zawsze trąciło jakąś nekrofilią. Egipcjanie budowali takie grobowce.

▮ Policja z Pawłowic ujęła pijanego czarnoskórego, który awanturował się w nieznanym języku na miejscowym dworcu autobusowym. Błąd. Obywatel Kenii nie miał polskiej wizy pobytowej. Przekazany więc został straży granicznej, która zamierza deportować go do Afryki. Prawdopodobnie samolotem.

▮ Przez ponad godzinę zablokowany był ruch kołowy w centrum Poznania. Najpierw stanęły tramwaje. Kiedy ich nagromadzenie przekroczyło wartość krytyczną, nie mogły również jechać samochody. Miasto sparaliżowała niefrasobliwa trzeźwa biała niewiasta, która zaparkowała wiśniowego SUV-a na torowisku. Poszła do fryzjera.

▮ Mieszkańcy okolic Baranowa, gdzie miał powstać „największy projekt infrastrukturalny współczesnej Polski" zwany Centralnym Portem Komunikacyjnym, czują się szykanowani przez straż pożarną i policję. Zwłaszcza ci, co nie rozumieją głęboko państwotwórczej roli tej pisowskiej

eprasa.pl ae127a61eb

Ogon od świni

Lepkie dłonie małych ojczyzn.

Wszystkie partie prześcigają się w opowiadaniu, jak to są za samorządnością. I że ta forma demokracji jest najlepsza dla obywateli. I że najtańsza, i że w gminach każdą złotówkę przed wydaniem ogląda się kilkakroć, a potem inwestuje się ją ku pożytkowi małych ojczyzn.

Politykom wolno popychać takie głodne kawałki, bo jest wolność słowa. Chodzi zaś oczywiście o pieniądze. Olbrzymie pieniądze leżące gdzieś tam w Wólce, Wołominie czy innych Końskich. Każdy polityk wie, że prawdziwa kasa nie leży na Wiejskiej czy Nowogrodzkiej, ale na kontach tysięcy gmin, starostw i nawet województw. Wystarczy się tylko do niej dobrać.

Wykonywał rozkazy

Doniesienia medialne koncentrują się na samorządach tylko przy wyborach lokalnych i wtedy, gdy da się na zdjęciach pokazać kajdanki. Kilka ostatnich miesięcy dowodzi tego w stu procentach.

To stąd wiadomo, że trzech dolnośląskich samorządowców zostało zatrzymanych, a zarzuty dotyczą przyjmowania korupcyjnych obietnic i przekraczania uprawnień. W sumie zapuszkowano sześć osób, w tym trzy to urzędnicy samorządów powiatów wrocławskiego i dzierżoniowskiego, a trzy to „osoby reprezentujące podmioty gospodarcze". Chodzi o wydanie zezwolenia na użytkowanie budynku postawionego bez wymaganej przepisami dokumentacji. Są też zarzuty obiecywania łapówek i przyjmowania takich obietnic w zamian za „pośrednictwo w załatwieniu sprawy w instytucji samorządowej".

Mniej więcej w tym samym czasie skazany za korupcję został były wiceprezydent Wrocławia. Sąd nie miał wątpliwości, że biznesmen – zainteresowany dobrymi relacjami z urzędnikiem – częściowo sfinansował jego dwa atrakcyjne wyjazdy: na Zanzibar i Barbados.

Pozostańmy jeszcze na chwilę na Dolnym Śląsku. Bo przecież burmistrz Dusznik-Zdroju i biznesmen związany z branżą hotelarską zostali aresztowani na trzy miesiące za budowę hotelu. Burmistrz był podejrzany o przekroczenie uprawnień w celu osiągnięcia korzyści majątkowej oraz poświadczenie nieprawdy w dokumentach związanych z realizacją inwestycji. Po prostu hotel o parametrach wskazanych w decyzjach wydawanych przez burmistrza nie powinien stać w miejscu, w którym był budowany.

Nawet w mateczniku PiS ziobrowa prokuratura coś upolowała. Postawiła wójtowi gminy Tarnów zarzuty przekroczenia uprawnień w związku z remontami dróg w Woli Rzędzińskiej. Dotyczy to naprawy i wyasfaltowania jezdni, które – zdaniem śledczych – wykonano za samorządowe pieniądze na drogach będących własnością prywatną.

W Nowym Mieście Lubawskim trwa proces, w którym na ławie oskarżonych zasiadają czołowe osoby zarządzające gminą liczącą ponad 8 tys. mieszkańców. Z wójtem na czele. Zarzucono mu cztery przestępstwa urzędnicze, zdefiniowane w kodeksie tak: „Jeżeli sprawca dopuszcza się czynu w celu osiągnięcia korzyści majątkowej lub osobistej, podlega karze pozbawienia wolności od roku do lat 10".

To samo usłyszał pan pełniący obowiązki zastępcy wójta gminy Kurzętnik oraz przewodniczący rady gminy. Poza tym jegomość ten nie uwzględnił w oświadczeniu majątkowym śmiesznych dochodów, czyli 3800 zł uzyskanych z tytułu udziałów w jakiejś spółce. Przy tej jednak okazji można się było dowiedzieć, że przewodniczący rady gminy zarabiał ponad 10 tys. zł miesięcznie. Kolejny oskarżony był prezesem Zakładu Gospodarki Komunalnej w Kurzętniku. Prokurator zarzucił mu oszustwo, i to realizowane w sposób ciągły. To samo usłyszał pan sprawujący obowiązki kierownika ruchu. Ten przed sądem żadnej swojej winy nie dostrzegł, bo przecież tylko wykonywał polecenia służbowe. A że były one przekazywane ustnie lub telefonicznie i dotyczyły prac porządkowo-budowlanych na posesji prywatnej wójta bądź robót budowlanych w posiadłości jego córki, za które obciążono urząd gminy…

Rys. JANUARY

Kasa od nikogo

Po wyjściu z miesięcznego aresztu starosta kołobrzeski oświadczył, że „został mu postawiony zarzut na podstawie pomówienia przez człowieka, którego nigdy nie widział i nie wie nawet, jak wygląda". Chodziło tymczasem o aferę korupcyjną, w której aresztowano sześć osób, w tym wójta gminy Kołobrzeg oraz prezes firmy farmaceutycznej, budującej w Dźwirzynie dwa zasilane przez wody geotermalne obiekty sanatoryjno-hotelowe. Według śledczych pozytywne dla inwestora decyzje nie zapadały za darmo.

Wbrew pozorom prezydent Ostrowca Świętokrzyskiego nie jest rekordzistą w liczbie zarzutów prokuratorskich. Choć zdążył się już zadomowić w areszcie. W marcu prokurator przedstawił mu pięć zarzutów przyjęcia łapówki w łącznej kwocie 40 tys. zł w związku z pełnieniem funkcji publicznej. W maju kolejne cztery, w tym dotyczące nakłaniania świadka do składania fałszywych zeznań poprzez zatajenie sprzedaży prezydentowi Ostrowca Świętokrzyskiego złotych i srebrnych monet o wartości 1,7 mln zł. Kolejne trzy zarzuty, które usłyszał w prokuraturze prezydent Ostrowca Świętokrzyskiego, dotyczą złożenia fałszywych oświadczeń majątkowych za lata 2020, 2021 oraz 2022. Zapomniał wpisać złotych monet o wadze 1 kg, które kupił za 210 tys. zł. Niedawno do tego doszły dwa kolejne zarzuty, „w tym przyjęcia korzyści osobistej w związku z pełnioną funkcją publiczną oraz udzielenia pomocy do doprowadzenia do niekorzystnego rozporządzenia mieniem ZUS-u przez przyznanie ustalonej osobie nienależnego jej świadczenia".

Z prezydentem Ostrowca w kategorii zarzutów prokuratorskich wygrywa były burmistrz Murowanej Gośliny, którego proces lada chwila ruszy w Poznaniu. Zarzucono mu popełnienie łącznie 24 przestępstw. Początkowo samorządowiec usłyszał 12 zarzutów, głównie korupcyjnych. Potem doszły kolejne, dotyczące przyjmowania korzyści majątkowych i niedopełnienia obowiązków służbowych, a nawet napaści na funkcjonariusza CBA podczas zatrzymania. Jako wisienka na prokuratorskim torcie pojawiły się też prokuratorskie oskarżenia o psychiczne znęcanie się nad byłą żoną Iryną S. oraz o to, że „przez okres dwóch lat dopuszczał się innych czynności seksualnych z 12-letnią córką kobiety".

Żeby nie było, że samorządowiec z Murowanej Gośliny był tamtejszą samorządową czarną owcą, to wraz z nim na ławie oskarżonych kwitnie dziewięć osób. W tym były zastępca burmistrza, przewodniczący rady miasta oraz jedna z radnych.

Ustawiona transparentność

Laikowi mogłoby się wydawać, że przekręty są domeną mniejszych miejscowości. W dużych aglomeracjach bowiem wszyscy wszystkim patrzą na ręce. Nie do końca tak jest.

Burmistrz podwarszawskich Włoch buja się w tej samej instancji sądu od lat. Ale z aresztu wyszedł już dawno. Trafił tam za łapówkę. Jest bowiem oskarżony o przyjęcie korzyści majątkowej w wysokości 200 tys. zł za przychylność w załatwieniu spraw związanych z warunkami zabudowy nieruchomości. Turecki przedsiębiorca, który odpowiada za jej wręczenie, twierdzi, że przekazał samorządowcowi pieniądze, ale miały być one pożyczką lub zaliczką na poczet pośrednictwa przy sprzedaży nieruchomości. Proces pożyczania był jednak dziwny, a na dodatek obserwowany przez funkcjonariuszy. Panowie spotkali się w Raszynie, wyszli z samochodów, burmistrz otworzył tylne drzwi w swoim aucie, a biznesmen wrzucił doń torbę z 200 tys. zł w gotówce.

Przy szefie jednej ze stołecznych dzielnic sekretarz miasta stołecznego Warszawy był naprawdę szychą. Do jego obowiązków należały sprawy z zakresu administracji i spraw obywatelskich, bezpieczeństwa i zarządzania kryzysowego, rozwoju systemu zarządzania zasobami ludzkimi, rozwoju systemu obsługi mieszkańców, gospodarki odpadami, infrastruktury, transportu, koordynacji inwestycji i remontów w pasie drogowym, obsługi prawnej urzędu i w cholerę innych. Taki sekretarz to niemal zastępca prezydenta. A tu proszę, gość trafia za kratki za przyjęcie prawie 5 mln zł łapówki w związku z procedurą wyłaniania firm, które miały odbierać śmieci na terenie Warszawy.

Samorządowe przekręty, które wychodzą na światło dzienne, to ich absolutny margines. W tysiącach polskich samorządów lokalni biznesmeni działkują się z samorządowcami niemal codziennie. Tyle że dla nich nie jest to przestępstwo, ale standardowa procedura, w której nie widzą nic złego.

Biznesmen i jego pracownicy cieszą się, że mają robotę, a wójtowie, burmistrzowie i prezydenci są pewni, że zakontraktowana praca zostanie dobrze wykonana. Po to, żeby przedsiębiorca za jakiś czas przyniósł im wziątkę, by znów wygrać w kolejnym, ustawionym pod niego transparentnym samorządowym konkursie ku chwale mieszkańców małych ojczyzn.

TADEUSZ JASIŃSKI

---

inwestycji i nie chcą sprzedać nieruchomości dobrowolnie. Straż pożarna podpala przejęte już obiekty, a potem je gasi. W innych policyjni antyterroryści ćwiczą z bronią długą i helikopterami odbijanie zakładników. Rzecznik CPK Konrad Majszyk rzekł, iż informacje o rzekomym „podpalaniu domostw" i „zastraszaniu ludności" są przesadzone. Spalone i ostrzeliwane obiekty były własnością spółki, która udostępniła je służbom na mocy specjalnej umowy, ponieważ i tak przeznaczone są do rozbiórki. „Odpowiednie wyszkolenie policjantów i strażaków służy wszystkim obywatelom RP. Planowane są kolejne ćwiczenia" – dodał rzecznik.

▮ 35-latka staranowała autem sygnalizator świetlny na ul. Lęborskiej w Luzinie (województwo pomorskie). Powodem utraty panowania nad samochodem był pająk kroczący jej po nodze na swoich ośmiu odnóżach. Za arachnofobię niewiasta została ukarana mandatem w wysokości 1500 zł oraz 10 punktami. Była trzeźwa. Gdyby była pijana, do napadu paniki zapewne by nie doszło.

▮ Kierujący czarnym bmw w Iławie na ul. Wyszyńskiego nie zachował bezpiecznego odstępu i wjechał w tył jadącego przed nim mercedesa prowadzonego przez kobietę. Oficer prasowy komendy w Iławie Joanna Kwiatkowska potwierdziła, że kierujący bmw miał we krwi 1,8 promila i jest funkcjonariuszem Komendy Wojewódzkiej Policji w Olsztynie z kilkunastoletnim stażem.

▮ Ewa Ambroziak, szefowa prokuratury w Płońsku, poinformowała, że trzy amstaffy, które zagryzły na śmierć 57-letniego pracownika stadniny w Omięcinach w listopadzie ubiegłego roku, są niewinne. Ponieważ, po pierwsze, były szczepione. Po drugie, ich właściciel miał zezwolenie na posiadanie psów niebezpiecznych. Natomiast zagryziony sam sobie zaszkodził, gdyż grabił liście, czego przedstawiciele rasy amstaffów szczególnie nie cierpią. Możemy zatem mówić o nieszczęśliwym wypadku, ale zgodnym z prawem. Postępowanie zostało umorzone z powodu „braku znamion czynów zabronionych".

▮ Na policyjnym parkingu pod Komendą Powiatową w Chrzanowie pobiło się dwóch funkcjonariuszy. Policjant drogówki dostał w dziób od reprezentanta prewencji, ponieważ ten z drogówki ukarał dziadka tego z prewencji obłędnie wysokim mandatem za przekroczenie prędkości samochodem. Wnuczek słusznie mógł się czuć dotknięty niesprawiedliwością, jaka skrzywdziła jego protoplastę.

▮ Sukces odnotowała policja, która odzyskała 66 katalizatorów wyciętych z aut w powiecie krakowskim, których wartość oszacowano na 850 tys. zł (trochę przesada, ale niech będzie). Przestępcami okazali się dwaj „obcokrajowcy" w wieku 26 i 35 lat, którzy prowadzili koczowniczy tryb życia. „Obcokrajowiec" w obecnej nomenklaturze policyjnej oznacza dezertera z armii państwa, które dzielnie walczy o swoją wolność za jedną z naszych wschodnich granic. Obcokrajowcy zostali aresztowani na trzy miesiące. To oznacza, że ich standard życia się jednak dzięki kradzieży poprawił.

▮ Najlepiej zarabiającym prezydentem jednostki samorządowej w Polsce w minionym roku był prezydent Krakowa Jacek Majchrowski. Zarobił ponad 503 tys. zł. Drugie miejsce ma prezydent Wrocławia Jacek Sutryk – 412 tys. Trzecim był prezydent Lublina Krzysztof Żuk – ponad 400 tys. zł. W naszym rozumieniu Majchrowski zarabia o jakieś 300 tys. za mało. Kraków jest jak dwa Lubliny, jeżeli chodzi o liczbę mieszkańców, a zarobki Majchrowskiego tylko o 100 tys. większe niż Żuka.

Rys. WIDGET

▮ Jak podał europejski urząd statystyczny Eurostat, w 2021 r. byliśmy najbardziej zmotoryzowanym społeczeństwem w Europie. W Polsce było najwięcej zarejestrowanych aut osobowych w przeliczeniu na 1000 mieszkańców – 687. I są to w dużym stopniu bardzo dobre samochody. Proste w konstrukcji, dość niezawodne, umiarkowanie paliwożerne oraz ogólnie tanie w eksploatacji. Wynika to z faktu, że 41 proc. posiadanych przez Polaków samochodów wyprodukowano w czasach, kiedy koncernami samochodowymi rządzili inżynierowie, a nie księgowi. Mniej więcej około roku 2000 nastąpiła filozoficzna zmiana w produkcji aut. Ważniejszy jest zysk niż jakość. Motoryzacja uczyniła ogromny krok wstecz.

▮ W najbliższą sobotę rozpoczyna się jesień.

R.J.

PS Informacje pobrano z prasy lokalnej jako potencjalnie zajmujące dla szerokiej opinii publicznej, co jednak nie znaczy, że muszą być w pełni prawdziwe, a my za nie odpowiedzialni.

eprasa.pl ae127a61eb

Wariaci są wśród nas.

Paranormalni małżonkowie i demony

Gdy w kraju nad Wisłą straszy niespełniony duchowny Szymon Hołownia, Zachód ogląda nową odsłonę „Zakonnicy", czyli „Zakonnicę II", lecz nie chodzi bynajmniej o następne dzieło sztuki poświęcone Faustynie Kowalskiej. Kolejne flaki z olejem z rozbudowanego uniwersum „Obecności" (dziesięć filmów od 2013 do 2023 r.) to niekończący się maraton budowania pomników ze spiżu amerykańskiemu małżeństwu Eda i Lorraine Warrenów.

Film właśnie miał premierę w Polsce. Pierwsza część „Zakonnicy" była światowym hitem. Rydzyk powinien się uczyć, jak kręcić zajmujące umysły prostaczków filmy.

Paranormalni małżonkowie przedstawiali się przez całe życie jako para demonologów. Czy to oznacza, że brali do łapy potężne różdżki o fallicznych kształtach i w kręgu świec przywoływali ucieleśnienia otchłani? Spijali świeżo spuszczoną krew niemowląt ku czci Azazela? Nie, rozmawiali z szalonymi małolatami o lewitujących talerzach i dzwonili po księdza. Ot, ichniejsze świeckie katechetki od pokazywania gimnazjalistom filmów o egzorcyzmowaniu nicponiów bawiących się tablicami ouija (inaczej: tablica spirytystyczna). Zostawili po sobie potężną spuściznę: nie tylko materiał na kolejne horrory klasy B, ale również istny Disneyland nocnych koszmarów: Muzeum Okultyzmu, przechowujące różne pamiątki, przyjęte od wdzięcznych rodzin.

W imię Wojtyły

Ona, Lorraine Warren – medium; on, Ed Warren – świecki demonolog, jak sam powtarzał, jedyny taki uznany przez Kościół. Wspólnie jeździli po kraju (czasem za granicę) i identyfikowali zjawiska paranormalne przytrafiające się ludziom w dobie tzw. *satanic panic*. Rozwiązywali problemy stukających strachów, pukających poltergeistów, donośnych duchów i dręczących demonów. O ile być może trudno weryfikować kontakty Lorraine z duszkiem Casprem czy widziadłem Barbary Radziwiłłówny, o tyle w przypadku Eda tak nośna reklama jak poklepanie chłopa po plecach przez sam Watykan powinna być do sprawdzenia raz-dwa. A choć ten stale powtarzał, że sroce spod ogona nie wypadł, to jednak dowodów na potwierdzenie tych słów wciąż brak. Żadnego certyfikatu, żadnego jezuickiego webinaru, ba – ani jednego zdjęcia z największym z Polaków. A

to przecież właśnie w czasie pontyfikatu świętego z Wadowic amerykańskie małżeństwo demonologów miało szczyt popularności.

Prócz kilku wyjątków trudno również powiedzieć, którzy księża tak naprawdę angażowali się w Warrenowską machinę badania i zwalczania zjawisk paranormalnych. Większość czarnych biorących udział w tych przygodach jest przedstawiana przy użyciu fikcyjnego nazwiska – wygląda więc na to, że nawet w środowisku jankeskiego kleru odwalanie egzorcystycznego mambo jambo musi uchodzić za sromotną siarę. Wyjątkiem jest tu na pewno postać biskupa Roberta McKenny, który nie tylko pofatygował się do nawiedzonego domu rodziny Smurlów, ale nawet opatrzył swoim wstępem jedną z poczytnych książek Warrenów, wydaną u nas pod tytułem „Przeklęty. Historia domu Smurlów". Jednakowoż katolickie zacięcie biskupa uwzględniające poddańczość względem Watykanu można postawić pod wielkim znakiem zapytania, ponieważ należał on do wielkich krytyków Soboru Watykańskiego II, uważających kolejnych papieży za męskie Julie Przyłębskie. Taki protektorat chyba nie świadczy zbyt dobrze o protegowanym.

Szmata taka jak Annabelle

Prawdopodobnie najsłynniejszym przypadkiem małżeństwa Warrenów była demoniczna lalka Annabelle. Dobra ksywa dla małomiasteczkowej masażystki erotycznej ogłaszającej się na Roksie za mniej niż pięć stów. Choć filmowa antagonistka prezentuje się równie porcelanowo jak pierwsza dama z Pałacu Prezydenckiego, a oczka jej się świecą równie złowrogo jak ruskowi spoglądającemu na Donieck, to rzeczywistość pozostaje zupełnie daleka od obrazu kreowanego przez kino: prawdziwa Annabelle to kawał zwykłej szmaty! Jeśli dziewczęce laleczki miałyby zostać porównane do aut, to wówczas trzeba byłoby stwierdzić, że demon wsiadł do cinquecento. Szmaciana zabawka z serii Raggedy Ann to przykład bardzo standardowej lali o prostych rysach twarzy i tępym spojrzeniu. Niewykluczone zatem, że choć powstała w pierwszej połowie XX w. w USA, to jednak musiała być owocem marzeń o przyszłym pisowskim 800+ i Czarnkowskiej edukacji narodowej. Przechodząc jednak do meritum przypału, trzeba podkreślić, że sprawa jest podejrzana, bo owa demoniczna Annabelle miała znajdować się w posiadaniu dwóch pielęgniarek, które z przyczyn nieznanych seksuologom trzymały ją w mieszkaniu jako pocieszną maskotkę. Z czasem zaczęła zmieniać miejsce swojego ulokowania oraz układ kończyn. Nie wiadomo, czy rozkładała nogi. Przy pomocy pani medium młode pielęgniarki dowiedziały się, że lalką steruje z tylnego siedzenia duch małej dziewczynki o imieniu Annabelle. Dziewczyny uznały to za szczególnie wzruszające. Gdy jednak partner jednej z nich padł ofiarą dziwnego ataku, wskutek którego na klatce piersiowej pozostały mu ślady pazurów, wszyscy zgodnie uznali, że mają przejebane. Zgłosili się więc do Warrenów, ci zaś strzelili im w ucho, że to żadna dusza zmarłej dziewczynki, lecz prawdziwy demon, czort, bestia taka. Zabrali im tę zabawkę czym prędzej i umieścili w specjalnej gablocie swojego Muzeum Okultyzmu. Raz na tydzień miał tam przychodzić ksiądz, by wodą święconą pokropić diabelską lalę. Pewnie gdyby była to figurka chłopca, to czarny przyłaziłby na machanie kropidłem co drugi dzień. Problem całej tej historii, tak jak i wielu, wielu innych przypadków Warrenów, polega na tym, że wszystko opiera się jedynie na ich słowach. Nie znamy nazwiska, adresu ani numeru buta żadnej z tych pielęgniarek. Od biedy mogliby równie dobrze kupić Annabelle na pchlim targu i wciskać wszystkim farmazony jak powyżej. Grunt, że sława muzeum wyprzedza fakty, a sama lalka stała się z czasem przedmiotem franczyzy.

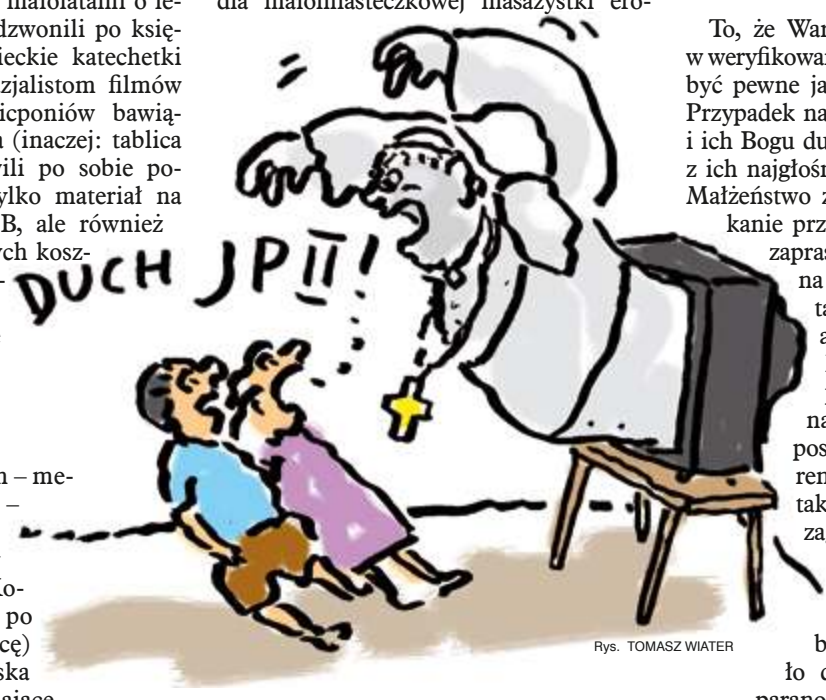

Rys. TOMASZ WIATER

Nękany przez kurwisko

To, że Warrenowie strzelali ślepakami w weryfikowaniu swoich przypadków, musi być pewne jak jutrzejszy wschód słońca. Przypadek nawiedzenia rodziny Smurlów i ich Bogu ducha winnego domu to jedna z ich najgłośniejszych spraw w latach 80. Małżeństwo zwykle utrzymywało, że nękanie przez złego ducha jest efektem zapraszania go do swojej chawiry, na przykład wskutek zabawy tablicą oiuja albo oglądania amerykańskiej wersji „Szkła kontaktowego". W tym przypadku domownicy byli jednak nieskalani niczym umysł posła Kanthaka. Lorraine Warren uznała więc, że muszą być tak wspaniali, że aż stanowią zagrożenie dla samego diabła, więc ten musi zrobić pierwszy krok. Naciągane jak przeprane gacie. Lecz do brzegu: w chałupie dochodziło do nadzwyczajnych zjawisk paranormalnych, na przykład do spłukiwania wody w kiblu. Najwyraźniej takie zdarzenie nie zachodziło tam zbyt często. Innym razem w domu unosił się niemożebny odór. Zapewne akurat wtedy, gdy woda nie była spuszczana. Wreszcie przykładnego męża i cudownego ojca, pana Smurla, zaatakował byt przybierający postać starej baby. To astralne kurwisko miało go wyruchać, a następnie zostawić, bez dzwonienia i pisania. Po wszystkim została na jego ciele spora ilość lepkiej substancji, którą uznano za ektoplazmę. Chyba nie wzięto pod uwagę, że pan Smurl mógł po prostu zaliczyć niezły samogwałt. W każdym razie wychodzi na to, że ta zmora nawiedza prawie każdy dom na świecie. Problemy z domem i nękaniem rodziny trwały w zasadzie przez lata, trudno powiedzieć, by Warrenowie odnieśli jakiś wymierny sukces, Kościół katolicki (ten na franczyzie, sygnowany Watykanem) nie był z kolei zbyt zainteresowany domem Smurlów ani spłuczką ich sracza. Problem dotyczący przypadku Smurlów przekłada się dobrze również i na inne historie z portfolio Warrenów: dużo gadania, mało dowodów. Małżonkowie opowiadali na prawo i na lewo, ile to taśm prawdy posiadają. Czy je udostępnili? Oczywiście, że nie – to wariant klasycznego „wiem, ale nie powiem". Dzisiaj nie ma już na świecie Warrenów, Ed zmarł w 2006 r., a Lorraine w 2019 r. – ale pozostało ich sławetne Muzeum Okultyzmu i potężna franczyza filmowego uniwersum. Będą wyciskani mocniej i intensywniej niż pan Smurl.

FRANCISZEK CIUPEK

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ *Kampania wyborcza do parlamentu wchodzi w fazę, w której częściej niż zwykle stosowanym narzędziem jest tzw. fake news (kłamstwo, łgarstwo, bujda). […]* ***O. dr Tadeusz Rydzyk,*** *redemptorysta, nie był i* ***nie jest beneficjentem jakichkolwiek „transferów"*** *od państwa. Misją redemptorystów jest, jak łatwo dowiedzieć się z treści reguły obowiązującej zakonników, „oddanie się Bogu oraz głoszenie Ewangelii". Tę misję o. dr Tadeusz Rydzyk przed laty postanowił realizować i czyni to z powodzeniem w Polsce i dla Polaków.*

Zespół Wspierania Radia Maryja, List otwarty, 18 września

■ *Powstawały kolejno takie instytucje jak: Radio Maryja, Telewizja Trwam, „Nasz Dziennik", Wyższa Szkoła Kultury Społecznej i Medialnej (obecnie: Akademia) oraz fundacje wspierające te inicjatywy i świątynia (wotum wdzięczności za św. Jana Pawła II), a ostatnio przygotowujące się do otwarcia Muzeum „Pamięć i Tożsamość", które łącznie można określić jako Centrum Ewangelizacji. Żadna z tych instytucji nie była i* ***nie jest prywatną własnością o. Tadeusza Rydzyka.*** *Wszystkie działają dlatego, iż było i jest duże zapotrzebowanie Polaków na uczestniczenie w formacji religijnej i patriotycznej prowadzonej przez te instytucje. Świadczy o tym rzesza aktywnych uczestników określana jako Rodzina Radia Maryja. Trzeba też podkreślić, że każda z wymienionych instytucji spełnia wszystkie wymagania ustawowe, jest zarejestrowana i działa na podstawie zatwierdzonego statutu. Ma więc* ***konstytucyjne i ustawowe prawo do rozwijania swej działalności oraz pozyskiwania funduszy na tę działalność*** *i nie może być również w tym zakresie dyskryminowana.*

dalej Zespół Wpierania

■ *Neopogańska wizja „ja", która przekreśla chrześcijańskie „my". My z Chrystusem, dla którego żyjemy i umieramy, i my, którzy na Chrystusie budujemy najbardziej podstawowe i święte związki: małżeńskie, rodzinne i narodowe. Są* ***współczesne ideologie,*** *które chcą przekreślić* ***tożsamość mężczyzny i kobiety.*** *Stąd nawoływanie do związków homoseksualnych, które chce się uznać za równoważne z małżeństwem. Stąd to wzywanie do uprawnienia, by zabijać w postaci aborcji i eutanazji.*

abp Marek Jędraszewski, homilia, 17 września

■ *Największe* ***zagrożenie dla Kościoła*** *polega na tym, że Kościół przestaje głosić to, do czego został powołany. A rozwój rewolucji seksualnej jest rzeczywiście jednym z istotnych elementów czy czynników wpływających na zmianę podejścia Kościoła do własnej nauki. I w tym sensie byłoby to duże niebezpieczeństwo, ale równie dużym jest chociażby kwestia podejścia do innych religii. Jeśli w jednym punkcie Kościół odpuszcza, to moim zdaniem odpuszcza też w innym – na przykład na pierwszy rzut oka nie ma żadnego związku między zmianą* ***podejścia Kościoła do judaizmu a zmianą podejścia do rewolucji seksualnej,*** *ale w praktyce jeśli Kościół w jednym elemencie swojej doktryny dopuszcza się sprzeczności z tym, co było wcześniej, to łatwo sobie wyobrazić, że w podobny sposób będzie reagował na inne próby nacisku, na zmiany.*

Paweł Lisicki, PCh24.pl, 18 września

■ *Na czym polega niebezpieczeństwo* ***rewolucji seksualnej w Kościele?*** *W tej dyskusji dotyka mnie przede wszystkim szerzenie się tego, co można by nazwać ideologią genderową czy ideologią LGBT, bo jest to jej najbardziej radykalny przejaw. Oczywiście ktoś może powiedzieć, że rewolucja seksualna polega też na ogólnym upadku obyczajów, na tym, że dawne prawo moralne przestaje obowiązywać, że ludzie grzeszą częściej niż przedtem albo że grzeszą łatwiej. […] Różnica między współczesnością a na przykład epoką renesansu, o której mówi się, że niezwykle zepsuła moralnie ludzi Kościoła, jest taka, że jeśli papież miał trzy kochanki, a jakiś kardynał miał pięć, to nikt nie nazywał tych przypadków grzechu czymś właściwym, słusznym i czymś, czego należy wymagać od wszystkich innych.*

dalej Lisicki

Wybrał **KLECHA**

Rys. WIDGET

eprasa.pl ae127a61eb

Kaczyński kręci

Długa podróż rotmistrza Pileckiego przez pisowską granicę.

Głośno o filmie Agnieszki Holland, który jest „hańbą”. Cicho o filmie Krzysztofa Łukaszewicza, który jest gniotem. Nie ma szczęścia PiS do filmowców ani z jednej, ani z drugiej strony.

Wierchuszka PiS od zawsze powtarzała po Leninie, że kino jest najważniejszą ze sztuk. Już tydzień przed wyborami 2015 r. Jarosław Kaczyński w Legionowie mówił: „Zbierzmy pieniądze na jeden, dwa czy trzy wielkie hollywoodzkie filmy, które pokażą, jak w Polsce było naprawdę w czasie drugiej wojny światowej. Filmy z powszechnie znanymi w świecie aktorami, z powszechnie znanymi reżyserami”. Dwa dni później prezes pociągnął ten wątek, ubogacając go o źródła finansowania. Rzekł: „Zbierzemy środki, one nie mogą być budżetowe z natury rzeczy”. Ta natura rzeczy w kolejnych miesiącach i latach stanie się dla prezesa i partii najważniejsza.

Mel Gibson czy ktoś taki

Po wyborach minister Gliński ledwo otrzymał nominację, a już zapowiedział, że „w najbliższym czasie chcemy rozpocząć wielki projekt filmowy. Polski rząd będzie w najbliższym czasie dążył do stworzenia bardzo dużej produkcji, promującej polską historię”.

Wiceminister Sellin zawtórował szefowi. „Chcemy doprowadzić do powstania kilku fresków historycznych, filmów wysokobudżetowych, finansowanych z pieniędzy rządowych oraz przez wielkie polskie firmy i zainteresowany mecenatem biznes. Chcemy, by powstały filmy o rotmistrzu Pileckim, o Janie Karskim, o Irenie Sendlerowej, o Żegocie. Oczywiście do tych projektów możemy też zapraszać reżyserów czy aktorów hollywoodzkich, ale to muszą być polskie produkcje”.

Błaszczak we wrześniu 2016 r. spotkał się z Polonią w Nowym Jorku. Oczywiście mówił o potrzebie nakręcenia filmu z aktorami hollywoodzkimi, na przykład o rotmistrzu Pileckim czy o polskich lotnikach, którzy brali udział w bitwie o Anglię. „Fundusze na taką produkcję miałyby pochodzić z budżetu państwa. Trzeba zatrudnić Cruise’a, Gibsona czy kogoś, kto jest znany na całym świecie. Aktora hollywoodzkiego, który wcieliłby się w postać Polaka w czasie drugiej wojny i pokazał historię”.

Superhero z prądu, gazu i benzyny

Od słów władza przeszła do pieniędzy. Jeszcze w 2016 r. rząd wydał dyspozycje 17 największym spółkom skarby państwa, by zrzuciły się na kilkaset milionów złotych i utworzyły Polską Fundację Narodową (PFN). Firmy podniosły ceny prądu, gazu, paliwa czy nawozów i się zrzuciły.

Rys. GRZEGORZ SOBCZAK

Początkowo PFN wchodziła w twórczość niefilmową. Na jadącą po polskich sędziach kampanię billboardową „Sprawiedliwe sądy” wydała ok. 8,4 mln zł. Ale już w czerwcu 2018 r. PFN nawiązała współpracę z agencją Rogers & Cowan, która miała umożliwić nakręcenie serii amerykańskich filmów fabularnych poświęconych polskiej historii. Przez pierwsze dwa lata agencja dostała na to od PFN ok. 6 mln zł. Zamiast superprodukcji udało się jedynie nakręcić dwa krótkie spoty z udziałem Mela Gibsona i Liama Neesona oraz film dokumentalny, które oprócz wymienionej wcześniej kasy i tak miały własne budżety. Jakie – nie wiadomo. Bo PFN nie poczuwała się nigdy do tego, żeby wpuścić kontrolerów NIK.

Wiadomo za to, że ciągu dwóch lat PFN zapłaciła równowartość ponad 27 mln zł amerykańskiej firmie PR-owej White House Writers Group za stworzenie profili o Polsce w mediach społecznościowych oraz za organizację spotkań, których w rzeczywistości nie organizowała. Materiały były słabe i nie miały klikalności. Współpracę zakończono. Kwoty zaś znamy dlatego, że kontrakt amerykańska firma musiała przedstawić amerykańskim służbom fiskalnym, których tajemnica nie obowiązuje. Z polskich źródeł o tym dealu PFN niczego nikt się nie dowiedział. Dziś PFN jest najbogatszą fundacją w Polsce. Przez siedem lat państwowe firmy wyłożyły na jej projekty aż 633 mln zł.

Wytwórnię widzę ogromną

PiS miało chęć szczerą i finansowanie. Miało też TVP, która zajmowała się produkcją filmów. To jednak władzy nie wystarczyło. Gliński wykombinował, że z kilku mocno deficytowych instytucji zrobi jedną, która nie wiadomo dlaczego miałaby nie być deficytowa. A właściwie wiadomo. Przecież kasę dla niej dawać miała PFN.

3 września 2019 r. minister kultury i dziedzictwa narodowego podpisał zarządzenie w sprawie połączenia państwowych instytucji kultury: Studio Filmowe „Kadr”, Studio Filmowe „Tor”, Studio Filmowe „Zebra”, Wytwórnia Filmów Dokumentalnych i Fabularnych oraz Studio Miniatur Filmowych, a także utworzenia państwowej instytucji kultury – Wytwórni Filmów Dokumentalnych i Fabularnych (WFDiF). Do połączenia instytucji doszło formalnie 1 października 2019 r.

Dzięki temu miał powstać „profesjonalny publiczny ośrodek produkcji filmowej, który będzie poważnym partnerem dla realizatorów wysokobudżetowych produkcji europejskich i amerykańskich”. Nowa państwowa wytwórnia filmowa miała osiągać roczne obroty na poziomie 100 mln zł.

W kontakcie z Hollywood

W marcu 2018 r. PFN podjęła decyzję o produkcji i promocji pełnometrażowych filmów o rodzinie Ulmów oraz o rotmistrzu Witoldzie Pileckim. W czerwcu 2019 r. ówczesny prezes PFN Filip Rdesiński zapewniał: „Jesteśmy w stałym kontakcie z Hollywood. Żeby nie wpłynąć na negocjacje, nie mówię o nich publicznie, dopóki nie będzie efektów. Zdradzę tylko, że trwa wiele rozmów. Niewiele mogę ujawnić, wspomnę jedynie ogólnie, że na film zasługują niewątpliwie sylwetka rotmistrza Pileckiego i jego niezwykłe bohaterstwo”.

Ale gdy tylko powstała nowa WFDiF, PFN informowała, że podpisała umowę z Wytwórnią Filmów Dokumentalnych i Fabularnych na realizację wysokobudżetowego filmu fabularnego „Raport Pileckiego”.

Film miał być realizowany razem z Telewizją Polską, Państwowym Instytutem Sztuki Filmowej i WFDiF. Łączny budżet wyniósł 36 mln zł, z czego PFN przekazała 16 mln zł. Budżet „Pileckiego” był czwartym co do wysokości budżetem filmowym w historii III RP. I pokazuje, że PiS nie jest jakimś wyjątkiem. Żadna władza nie żałowała pieniędzy na bogoojczyźniane gnioty. Wystarczy sprawdzić, kto rządził, kiedy powstawały filmy droższe od „Pileckiego”, czyli „Quo vadis”, „Karol. Papież, który pozostał człowiekiem” oraz „Bitwa pod Wiedniem”.

Pierwszym reżyserem „Raportu Pileckiego” został Leszek Wosiewicz. Swoje zrobił, ale ponieważ film okazał się bardziej niż tragiczny, faceta pogoniono i zaczęto kręcenie niemal na nowo z Krzysztofem Łukaszewiczem, reżyserem, o którym nikt wcześniej nie słyszał. Męczarnie z liftingiem „Pileckiego” trwały ponad 3 lata. Już ten fakt i olbrzymia kasa powinny spowodować, że film, który powstanie, będzie hitem. Zwłaszcza że

życiorys Pileckiego – i to bez względu na jego oceny – to istny samograj. Wpakowanie się do Auschwitz, ucieczka stamtąd, powstanie warszawskie, powrót do kraju rządzonego przez NKWD oraz proces i rozstrzelanie na Rakowieckiej to kawałek świetnej fabuły.

Premierę przewidziano na 1 września. Niby słusznie, bo i data, i ludzie już wrócili z wakacji. Niestety poprzedzono ją promocją w sieci i telewizji. Dialogi i ujęcia w spocie reklamowym u każdego myślącego wywoływały ból zębów. A przecież wiadomo, że w trailerze pokazuje się to, co w filmie najlepsze.

Przedpremierowe pokazy dla prasy skończyły się tym, że nawet narodowo-katolickie media pisowskie pisały o filmie źle albo wcale.

Wynik frekwencyjny pierwszego weekendu pokazał, że na film poszła ledwie połowa członków PiS. Widzów było 23 112.

W porównaniu do innych historycznych filmów PiS wcale nie było jednak najgorzej. „Orzeł. Ostatni patrol” miał 18 tys. widzów na starcie, a „Orlęta. Grodno ’39” raptem 22,2 tys. Choć w porównaniu z 34 tys. widzów w pierwszym weekendzie wyświetlania komiksu o siostrze Faustynie pt. „Miłość i miłosierdzie”, bohaterowie II wojny światowej mocno przegrywają.

Przy 934 tys. widzów, które uzyskał „Kler” Smarzowskiego, kino pisowskie to coś bardziej niż żałosnego.

Na to, żeby superprodukcja się zwróciła, nie ma szans. Drugi tydzień wyświetlania „Raportu” był jeszcze gorszy. Obejrzało go 17 tys. osób z ogonkiem. Czyżby dlatego, że został zrobiony na siłę przez pisowskich amatorów tylko po to, żeby kilkadziesiąt osób mogło przytulić duże pieniądze? A może przez to, że film nie jest hollywoodzki? No i nie występuje w nim Mel Gibson.

A może powinni zatrudnić Holland do filmu o Pileckim.

TADEUSZ JASIŃSKI

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ Ksiądz Daniel Wachowiak z archidiecezji poznańskiej, znany z przemożnej aktywności na Twitterze, poinformował, że polecił u siebie w parafii, by w trakcie liturgii zmieniano szyk w psalmie 33, gdy padają słowa „On miłuje prawo i sprawiedliwość”. Ma być śpiewane „sprawiedliwość i prawo”. Jak twierdzi, „ze względu na potężne emocje w naszym Narodzie”. No i znowu ks. Wachowiak podpadł za kłapanie klawiaturą. To jest absolutne uzależnienie od smartfona.

✚ Ks. Krzysztof Kralka ze zgromadzenia pallotynów przestrzega przed treścią jednej z piosenek Dawida Podsiadły, w której ten zwraca się w sposób bezpośredni do złego ducha, przyzywając go: „Diable, weź mnie w swoje ręce/ Wołaj mnie jeszcze i schroń/ Z rąk mnie nie wypuszczaj więcej/ Przeszłość potraktuj jak błąd/ Diable, weź mnie w swoje ręce”. „Jako osoba wierząca nie mam wątpliwości co do istnienia osobowego zła. Wielokrotnie w czasie modlitwy o uwolnienie czy egzorcyzmów, w których brałem udział, widziałem działanie złego ducha na własne oczy. Widziałem, jakie są konsekwencje zapraszania go do swojego życia i oddawania mu siebie. Niestety ta piosenka to właśnie czyni” – przestrzega ks. Kralka. A jakby słuchać tego, siedząc w wannie ze święconą wodą?

✚ Jakoś cicho ostatnio o Ordo Iuris. Nikt się tam nie rozwodzi?

✚ Na szczęście nieoceniony ks. Michał Woźnicki nie daje o sobie zapomnieć. Zasłynął w mediach za sprawą wielu oryginalnych wypowiedzi. Ks. Woźnicki w czasie jednego z ostatnich kazań wypowiedział się ponownie na temat kobiet (bo też to jeden z jego ulubionych tematów). Tym razem Woźnicki skomentował wiek kobiet obecnych na jego nabożeństwie. Jego zdaniem starsze osoby przypominają... straszydła. „Wy się starsze osoby bójcie, jak wyglądacie na starość. [...] Czy podobne jesteście do świętych niewiast czy do jędz?” – pytał retorycznie. Wrażliwiec widać estetyczny.

✚ Proboszcz pomorskiej parafii w Pszczółkach o pięknym nazwisku Józef Urban zwrócił się do tamtejszych radnych, bo chce kupić jedną z gminnych nieruchomości. Działkę o wartości 2 mln złotych duchowny chciałby nabyć z 99-procentową bonifikatą. Po miesiącach batalii wójt gminy odparł, że dobrze, ale po cenie rynkowej. Co najwyżej na raty. Ale zostawił też sobie i proboszczowi furtkę: wójt stwierdził, że rozważa wystąpienie z wnioskiem do Regionalnej Izby Obrachunkowej w Gdańsku z prośbą o ocenę i konsultację w tej sprawie. Jeśli pozwolą… Cóż. Strach jest wielki.

✚ Akademia Kultury Społecznej i Medialnej z Torunia, założona przez o. dyr. dr. Tadeusza Rydzyka i wspomagana dotacjami w rozmaitych formach przez państwo, państwowe spółki oraz poszczególnych ministrów, będzie kształcić lekarzy. Będą to 6-letnie jednolite studia magisterskie. Profil kształcenia związany będzie z hasłem wpisanym w logo uczelni, czyli „Fides, Ratio et Patria” – „Wiara, Rozum i Kraj”. Z czego najważniejsza jest oczywiście wiara.

Rys. TOMASZ WIATER

✚ Wnosząc z programów wyborczych przedstawionych przez partie, to w sprawie stosunku państwo–Kościół po wyborach niewiele się zmieni, niezależnie od tego, kto będzie tworzył rząd. PiS chce po wyborach odnawiać budynki użyteczności publicznej, m.in. klasztory i kościoły. Poza tym żadnych zmian. To nie dziwi. Trzecia Droga, czyli połączenie Hołowni z Kosiniakiem-Kamyszem, o sprawach związanych z Kościołem się nie wypowiada. Tak samo Konfederacja. Lewica zawarła swój stosunek do Kościoła w czterech ogólnikowych punktach, które nie do końca wiadomo co znaczą: świeckie państwo, finansowy rozdział Kościoła od państwa, bezwzględna walka z pedofilią, likwidacja klauzuli sumienia. Koalicja Obywatelska chce zlikwidowania Funduszu Kościelnego, lekcji religii na pierwszej lub ostatniej godzinie lekcyjnej, wywalenia oceny z religii ze świadectw szkolnych oraz wprowadzenia zakazu finansowania z pieniędzy publicznych działalności gospodarczej diecezji, parafii, zakonów i innych elementów gospodarczych Kościołów i związków wyznaniowych, z wyłączeniem działalności służącej celom humanitarnym, charytatywno-opiekuńczym, naukowym i oświatowo-wychowawczym. Wszystko mało.

KLECHA

eprasa.pl ae127a61eb

Radiomaryjny profesor – tak się kręci nauką w Polsce.

Rys. GRZEGORZ SOBCZAK

Międzyplon Czarnka

W 1594 r. w Zamościu powstała Akademia Zamoyska (Hippaeum Zamoscianum), wyższa szkoła humanistyczna. Ojcem założycielem uczelni był kanclerz wielki koronny Jan Zamoyski. W akcie fundacyjnym napisał słynną już maksymę „Takie są Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie". Po wiekach historycznych zawiłości w 2021 r. za sprawą Andrzeja Dudy Akademia Zamojska wróciła na mapę polskich uczelni. Gdyby Zamoyski zobaczył, co zostało z jego inicjatywy, byłby szczęśliwy jak galernik w trzecim roku kary.

Dobre złego początki

Akademia Zamoyska była czwartą wyższą, a pierwszą prywatną uczelnią w kraju. Według koncepcji Zamoyskiego placówka miała być „szkołą obywatelską" (*schola civilis*) przygotowującą młodzież do pełnienia służby Rzeczypospolitej. Współorganizatorem szkoły dla studentów z Polski i Litwy był polski humanista i poeta epoki renesansu Szymon Szymonowic.

Językami wykładowymi były łacina i greka. Początkowo na uczelni funkcjonowały trzy wydziały: medyczny, prawniczy i filozoficzny. Wykładali tu m.in. Jan Niedźwiecki-Ursinus (twórca podręcznika gramatyki łacińskiej i medyk), a w późniejszym okresie także Stanisław Staszic. Akademia zdobyła znaczny rozgłos nie tylko w Polsce, ale i w Europie. Prestiż placówki spowodował, że na przełomie XVI i XVII w. Zamość był jednym z głównych ośrodków myśli naukowej w Polsce. W 1772 r. miasto zostało włączone do zaboru austriackiego, 12 lat później rząd austriacki zamknął uczelnię, a w jej gmachu otworzył gimnazjum oraz liceum.

Z biegiem lat w budynku Akademii mieściły się różne twory oświatowe, ostatnim z nich była Uczelnia Państwowa im. Szymona Szymonowica w Zamościu, która w 2021 r. w ciężkich bólach przerodziła się we współczesną Akademię Zamojską.

Łaska pańska na Czarnku jeździ

Ustawę o utworzeniu Akademii Zamojskiej na bazie Uczelni Państwowej im. Szymona Szymonowica przygotowała grupa posłów PiS i Kukiz'15 i był to dopiero początek niespodzianek tego prawicowego potworka. Głównym

pomysłodawcą reaktywacji Akademii był mało znany poseł PiS Sławomir Zawiślak. To Zawiślak otworzył drzwi do politycznej kariery Przemysławowi Czarnkowi, proponując go na wojewodę lubelskiego, z której to funkcji Czarnek wybił się do sejmu. Trudno więc się dziwić, że minister edukacji i nauki w pomysł reanimacji Akademii Zamojskiej zapatrzył się jak na Jezusa w koronie cierniowej.

A że niejeden gniot edukacyjny z przypadkowych decyzji ulepił, ochoczo i z rozmachem zabrał się do dzieła.

Wcześniej zgodnie z prawem o szkolnictwie wyższym i nauce, aby uczelnia mogła stać się akademią, musiała kształcić doktorów na przynajmniej dwóch kierunkach. Zamojska Uczelnia Państwowa kształciła głównie na poziomie licencjackim, ale kto by się przejmował drobiazgami. Nowa ustawa o uczelniach zawodowych poradziła sobie z tą niedogodnością. Pomysł legislacyjnego zakalca zrównały z ziemią kolejno Polska Akademia Nauk i Rada Główna Nauki i Szkolnictwa Wyższego.

W ich opinii utworzenie Akademii Zamojskiej na mocy ustawy o takim kształcie byłoby „sprzeczne z konstytucją, zasadą wolności uprawiania nauki, swobodą dyskutowania poglądów, wolnością doszukiwania i dochodzenia do prawdy". Projekt nie został również skonsultowany z władzami Uczelni Państwowej im. Szymonowica. Czarnek miał to w dupie.

„Niezwykle trudna sytuacja, w jakiej obecnie znalazła się nasza Ojczyzna, zmusza państwo polskie i naród polski oraz społeczności lokalne do ogromnego wysiłku i pracy, mających za cel zachowanie i umocnienie naszego niepodległego i suwerennego bytu narodowego i państwowego. Byt ten jest zagrożony nie tylko przez czynniki natury zdrowotnej, ekonomicznej, materialnej i zewnętrznej, ale także bardzo mocno poprzez atak na tożsamość kulturową i cywilizacyjną Polek i Polaków" – głosił fragment uzasadnienia projektu ustawy. W dalszej jego części był jeszcze zapis, że powinna ona spełniać misję „wyrażoną w dewizie BÓG, HONOR, OJCZYZNA". I chuj, klamka zapadła, Akademia powstała.

A żeby wariactwu nie było końca, na rektora świeżo zmartwychwstałej uczelni Czarnek powołał swojego ulubionego doradcę dr. hab. Pawła Skrzydlewskiego, specjalistę od „ugruntowania dziewcząt do cnót niewieścich", szukania diabła odpowiedzialnego za grzech aborcji, wreszcie ulubionego filozofa Tadeusza Rydzyka i Radia Maryja. Żeby nie było, że się tylko czepiam, dodam, że Skrzydlewski jest autorem przeszło 250 publikacji naukowych oraz brał udział w projektach badawczych, m.in. takich jak „Pomniki polskiej filozofii chrześcijańskiej XX wieku" czy „Nie broda czyni filozofa".

Czy warto było szaleć tak?

Właśnie minęły dwa lata od powstania zamojskiego beniaminka Przemysława Czarnka. Postanowiłam zerknąć, jak wykorzystano ten czas do kształcenia studentów w oparciu o „naukę historii, pogłębionych polskich studiów humanistycznych i społecznych, tworzonych w duchu realizmu filozoficznego oraz chrześcijańskiej tradycji narodowej" – jak zakładano. Tzn. kto założył, ten założył…

Akademia Zamojska składa się z trzech instytutów: Instytutu Humanistyczno-Medycznego (to nie żart), oferującego takie kierunki jak filologia angielska, pedagogika, pielęgniarstwo, położnictwo, rynek sztuki i zarządzanie w kulturze oraz prawo. Instytut Społeczno-Ekonomiczny wychodzi z propozycją studiowania bezpieczeństwa narodowego, finansów i rachunkowości oraz turystyki i rekreacji. W Instytucie Mechaniczno-Informatycznym znajdziemy studia z zakresu mechaniki i budowy maszyn, logistyki oraz informatyki. Można by pomyśleć, że to uczelnia o aspiracjach na poziomie początkującego przedsiębiorcy z branży wód gazowanych.

Profesor Andrzej Samborski, były rektor byłej Uczelni Państwowej im. Szymonowica, od początku zastrzegał, że dla absolwentów kierunków, które posłowie zamierzają powołać w nowo powstałej Akademii, może nie wystarczyć miejsca na lokalnym rynku pracy, bo w Zamościu i okolicach potrzeby są zwyczajnie inne.

Nie przeszkodziło to jednak, aby Akademia Zamojska w ciągu roku awansowała o sześć miejsc w prestiżowym rankingu akademii nauk stosowanych i publicznych uczelni zawodowych „Perspektywy 2023" z miejsca jedenastego na piąte.

„Cieszymy się z sukcesu. Świadczy on o tym, że Akademia Zamojska jest dostrzegana nie tylko w naszym regionie, ale także w skali kraju. To efekt wspólnej pracy całej społeczności Akademii Zamojskiej: władz Uczelni, wykładowców, nauczycieli akademickich, pracowników administracji oraz studentów. [...] Wiemy, że ranking ten jest bardzo interesujący dla maturzystów, którzy zastanawiają się nad wyborem dalszej drogi życiowej i miejsca do zdobywania wykształcenia. Zachęcamy do rozpoczęcia kariery w Akademii Zamojskiej, która ma jedną z najpiękniejszych tradycji wśród uczelni Rzeczypospolitej oraz, co pokazuje ranking, stale się rozwija" – ocenił rektor dr hab. Paweł Skrzydlewski.

Zerknęłam na metodologię rankingu stosowaną przez „Perspektywy". Na ocenę składa się pięć kategorii: prestiż – 10 proc. (liczba wskazań danej uczelni w badaniu ankietowym wśród kadry akademickiej, w badaniu nie uwzględnia się głosów oddanych na uczelnie będące podstawowym miejscem pracy respondenta); absolwenci na rynku pracy – 25 proc. (ekonomiczne losy absolwentów – wskaźnik odzwierciedlający pozycję absolwentów danej uczelni na rynku pracy – według ogólnopolskiego badania z lat 2017–2020 „Ekonomiczne losy absolwentów" przeprowadzanego przez MEiN z wykorzystaniem danych ZUS); siła naukowa – 20 proc. (ewaluacja działalności naukowej, nasycenie kadry osobami o najwyższych kwalifikacjach, rozwój kadry własnej, uprawnienia habilitacyjne i doktorskie); potencjał dydaktyczny – 25 proc. (dostępność kadry dla studentów, prowadzone kierunki studiów); współpraca z gospodarką – 13 proc. (efektywność pozyskiwania środków finansowych, studia podyplomowe); umiędzynarodowienie – 7 proc. (studenci cudzoziemcy, wymiana studencka/wyjazdy, wymiana kadry akademickiej/wyjazdy, projekty partnerstw strategicznych, w których liderem jest uczelnia w ramach programu Erasmus+.

Akademia Zamojska uzyskała najwyższe wyniki w dwóch spośród tych kategorii: prestiż (97,76) oraz pozyskiwanie zewnętrznych środków finansowych (76,05). Ziobro zdziwienia, skoro na dzień dobry minister Czarnek przywiózł do Zamościa czek na 4,8 mln zł, a w 2022 r. Akademia dostała jeszcze 140 tys. zł na wsparcie konferencji naukowych z cyklu „Polityka niemiecka w XX i XXI wieku a tożsamość kulturowa i cywilizacyjna Polski". A jak zaznaczył Czarnek, blisko pięciomilionowe wsparcie dla uczelni to dopiero starter i może ona liczyć na dodatkowe środki. A jakże…

Na inauguracji otwarcia AZ przed dwu laty rektor Skrzydlewski mówił: „Akademia Zamojska jest przede wszystkim środowiskiem życia człowieka, narodu i państwa. Stoi ona na straży wszelkiej prawdy i wszelkiego dobra po to, by nimi bezinteresownie dzielić się, dając wszystkim należną doskonałość".

Można to zrzucić na karb różnic interpretacyjnych, a można na karb zdrowego rozsądku. Tak czy inaczej, śmiem wątpić w tę zagmatwaną kreację.

„My, Polacy, jesteśmy wielkim narodem, który wniósł ogromnie wiele w budowę cywilizacji łacińskiej, chrześcijańskiej Europy. To my jesteśmy Europejczykami. Akademia jest symbolem naszej europejskości" – mówił o placówce Czarnek. Ciekawe, bo zapachniało Wieczorowym Uniwersytetem Marksizmu i Leninizmu.

IDALIA DUBICKA

REKLAMA

eprasa.pl ae127a61eb

Złapani w siatkę

O czym napisać? O polskim Kubańczyku.

Iga Świątek straciła pierwsze miejsce w rankingu tenisistek, Bartosz Zmarzlik już mógłby świętować trzeci z rzędu tytuł żużlowego mistrza świata, ale podczas turnieju w Vojens bezduszni działacze zdyskwalifikowali go za to, że wyjechał na tor bez logo sponsora. O futbolistach aż wstyd wspominać.

Proszę otworzyć jakąkolwiek gazetę, włączyć dowolny kanał telewizyjny lub radiowy, przejrzeć portale w internecie. Temat jest jeden. Mistrzostwo Europy naszych siatkarzy wywalczone w Rzymie po niesamowitym meczu z Włochami. Reprezentacja Polski wróciła na europejski tron po 17 latach. Nie chodzi tylko o ten złoty medal. Liczy się też styl. Obie drużyny grały na najwyższym światowym poziomie.

Na trybunie honorowej w Palazzo dello Sport w Rzymie zasiadł prezydent Włoch Sergio Mattarella. Widać liczył, że faworyzowana drużyna Italii wygra, a on – wzorem innych dygnitarzy – ogrzeje się nieco w ciepełku sukcesu. Polskę reprezentował natomiast prezes PZPS Sebastian Świderski. Pojawił się też mieszkający na stałe w Rzymie Zbigniew Boniek, który usadowił się skromniutko między kibicami. Politycy z Polski nie dojechali. Wiadomo, jest kampania wyborcza, trzeba gasić aferę wizową, a sukces Polaków przed finałowym meczem wcale nie był taki pewny.

Myślę, że zwycięstwo w trzech setach dla większości kibiców (no dobrze, dla mnie też) było sporym zaskoczeniem. Polscy siatkarze wcześniej wygrali co prawda Ligę Narodów, ale po niej jakby mocno spuścili z tonu. Mecze kontrolne przed turniejem o mistrzostwo Europy nie zachwycały ani wynikami, ani stylem gry. Trener Nikola Grbić wprowadzał zmiany w składzie, czasem zwykłemu kibicowi trudno je było zrozumieć. Początek turnieju wcale nie był zachwycający. Serbski szkoleniowiec zapewniał, że forma będzie tylko rosła i szczyt osiągnie na finał, ale mało kto wierzy w takie trenerskie wypowiedzi.

Po meczu prezydent Mattarella wstał i bił brawo. Myślę, że nie była to tylko kurtuazja. Brawa biło kilkanaście tysięcy ludzi z trybun rzymskiej hali sportowej. Proszę to porównać z trybunami stadionów piłkarskich, na których publika nie tylko nie potrafi doceniać rywali, ale nawet gwiżdże podczas odgrywania ich hymnu. To był po prostu fascynujący mecz, w którym obie drużyny grały doskonale, ale jedna o kilka punkcików lepiej. Polscy siatkarze zaimponowali zwłaszcza zagrywką, która do finałowego meczu nie była ich najmocniejszą stroną. Po spotkaniu wyróżnia się zwykle poszczególnych graczy. Ja wyróżniłbym wszystkich siatkarzy z obu drużyn. Nawet tych, którzy na krótko pojawiali się na boisku. Szczególnie zaimponowali mi jednak Norbert Huber i Wilfredo León. Ich zagrywki siały popłoch w szeregach rywali. Huber wrócił do kadry po ciężkiej kontuzji. On naprawdę osiągnął najwyższą formę w meczu finałowym.

Kto jest wzorcem prawdziwego Polaka? Zapytajcie red. Danutę Holecką z TVP. Bez chwili namysłu odpowie wam, że jest nim Jarosław Kaczyński. Wysokie czoło, jasne mądre spojrzenie, dumna postawa, poglądy gloryfikujące nasz naród.

Niestety, Kaczyński nie może reprezentować Polski na boisku, bo nie tak dawno doznał kontuzji kolana. Wielka szkoda, bo mielibyśmy do kogo porównywać sportowców, co do których mogą się rodzić wątpliwości, czy mimo noszenia białego orzełka na koszulce tak naprawdę są naszymi rodakami.

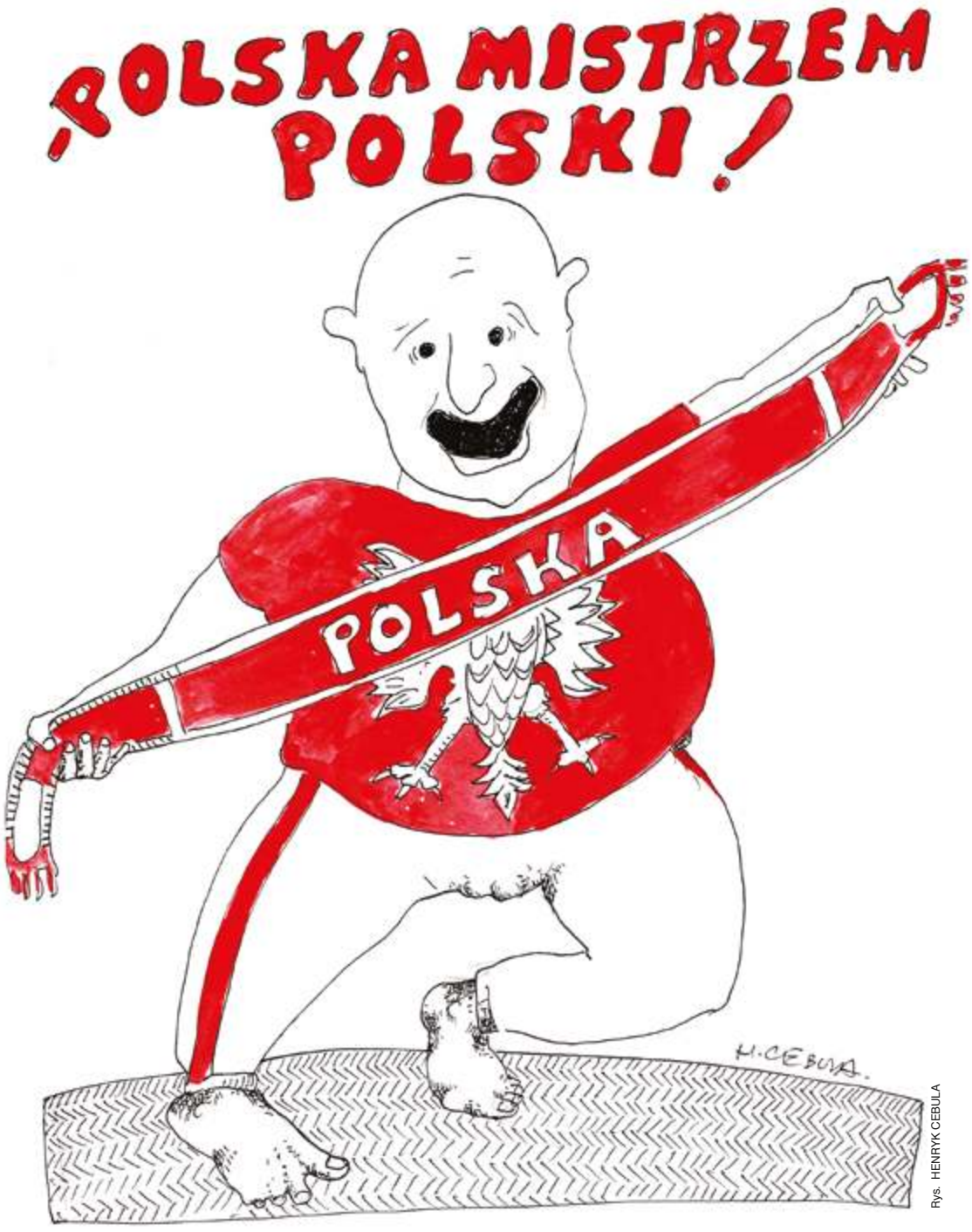

Rys. HENRYK CEBULA

Jeden z nich jest teraz na ustach całej sportowej Polski. Międzynarodowi działacze uznali go za najlepszego gracza mistrzostw Europy w siatkówce.

Polak to czy nie Polak

Ale najpierw o piłce, a niech tam. Kibicuję Aston Villi z angielskiej Premier League od dawna, od tak dawna, że prawoskrzydłowy tej drużyny Matty Cash jeszcze nie wiedział, że będzie Polakiem. Teraz w naszych mediach mówią o nim różnie, w zależności od fantazji: albo Anglik polskiego pochodzenia, albo Polak angielskiego pochodzenia. Matty Cash nie mówi po polsku (kiedyś przyznał, że zna tylko kilka nieparlamentarnych słów), ale głośno śpiewa „Mazurek Dąbrowskiego". Tekst fonetycznie wykuł na blachę. Być może gdyby władał biegle naszym językiem, słowa hymnu nieco by go zastanowiły, bo niby dlaczego mamy brać przykład z przegranego Napoleona Bonapartego? A jak wytłumaczyć, że najpierw przejdziem Wisłę, a dopiero później Wartę? Oznacza to przecież, że pójdziemy na zachód, być może po to, żeby szablą odbierać w Berlinie i w Brukseli to, co nam obca przemoc wzięła. W każdym razie Cash to białoskóry, w dodatku bardzo sympatyczny chłopak, więc nawet skinheadom łatwo go zaakceptować w koszulce z orzełkiem.

A jak się ma sprawa z Wilfredo Leónem? Czy poseł Grzegorz Braun z Konfederacji nazwie go reprezentantem Polski, czy raczej imigrantem zarobkowym z Kuby? Hymnu nie śpiewa, to pewne. Natomiast w odróżnieniu od Matty'ego Casha świetnie mówi w naszym języku, nawet w nim żartuje. Z polską żoną Małgorzatą ma troje dzieci. Mieszkają we Włoszech.

Wielu Polaków kubańskiego pochodzenia się nie doliczymy. Kraje demokracji ludowej w ramach solidarności internacjonalistycznej przyjmowały studentów z Kuby, Wietnamu, niektórych krajów arabskich, ale być może istniała między nimi jakaś umowa rozdzielająca kwoty imigrantów. Często wyjeżdżałem opisywać zawody sportowe w NRD i spotykałem tam naprawdę wielu Kubańczyków. Zapewne nie brak ich w zjednoczonych Niemczech. Na Uniwersytecie Warszawskim, w którym w bólach zdobywałem wiedzę, było mnóstwo Wietnamczyków. Wietnamczycy tworzą do dziś liczną diasporę w Polsce, nie integrują się z Polakami, ale bardzo uważają, żeby im nie nadepnąć na odcisk. Dzięki temu są łaskawie tolerowani, a właściwie niezauważani, dopóki ktoś nie nabierze smaku na kurczaka w sosie słodko-kwaśnym i nie pójdzie do fast foodu prowadzonego przez Wietnamczyków.

Jak Kubańczyk z Serbem

Historia Wilfreda Leóna jest zupełnie inna. Urodził się w Santiago de Kuba w rodzinie ze sportowymi tradycjami. Jego mama była siatkarką, a jej syn miał tak niesamowity talent do tej gry, że w dorosłej reprezentacji kraju zadebiutował już w wieku 14 lat. Z gry w drużynie narodowej swojego kraju zrezygnował po przegranych eliminacjach do igrzysk olimpijskich w Londynie. Ponieważ zdecydował się na grę w klubie poza granicami ojczyzny, zgodnie z obowiązującymi na wyspie przepisami stracił prawo do zakładania reprezentacyjnej koszulki.

W 2013 r. za pośrednictwem internetu wywiad z utalentowanym siatkarzem przeprowadziła (po hiszpańsku) Małgorzata Gronkowska, wielka fanka siatkówki, prowadząca wówczas portale o tej dyscyplinie. Wilfredo i Małgorzata nie są pierwszą parą, która poznała się przez internet. Po trzech latach od wywiadu para się pobrała, a León otrzymał polskie obywatelstwo.

Obywatelstwo nie oznacza zgody na grę w reprezentacji nowego kraju. Kubańczycy starali się, jak mogli, utrudniać życie swojemu byłemu reprezentantowi. Musiała minąć 5-letnia karencja. W tym czasie Wilfredo nie grał dla żadnej reprezentacji, ale nie miał się źle. Występował z sukcesami w bogatym rosyjskim Rubinie Kazań, a później w katarskim Ar-Rajjan, zapewne także niebiednym. Wreszcie przeniósł się do uznawanej za najbogatszą w Europie ligi włoskiej. Jeszcze nie tak dawno nazywano ją też najlepszą, ale sukcesy ZAKSY Kędzierzyn-Koźle i Jastrzębskiego Węgla w Lidze Mistrzów każą zrewidować tę opinię. Jeśli chodzi o zarobki, to Wilfredo León jest dziś najlepiej wynagradzanym siatkarzem świata. Jego gaża wynosi 1,7 mln euro rocznie. Tytułem porównania – za wygranie mistrzostwa Europy cała polska drużyna otrzymała do podziału 500 tys. euro. Oczywiście gdyby porównywać te pieniądze z tym, ile płacą piłkarzom lub ile obiecywał im premier Mateusz Morawiecki, jest to śmiesznie mało. Państwo Leónowie biedy jednak nie klepią, a inni siatkarze mogą im tylko zazdrościć.

Dwa lata temu Wilfredo León został współwłaścicielem, obok Karola Lejmana, siatkarskiego klubu Anioły Toruń. Jedni mówią, że kupił klub, inni twierdzą, że jego wkład jest bezgotówkowy, dał tylko swoje nazwisko, które przecież także ma swoją cenę. Nieważne, wsparcie dla małego klubu, który gra w II lidze (był blisko awansu do I ligi), a trenuje w sali gimnastycznej szkoły podstawowej, naprawdę się liczy. Niech więc nikt nie mówi, że jeśli ktoś ma ciemną skórę, może być tylko formalnie związany z naszym krajem.

Małgorzata León współpracuje z toruńską akademią szkolącą siatkarską młodzież. Z mężem rozmawia po hiszpańsku, z dziećmi tylko po polsku. To od niej Wilfredo świetnie nauczył się naszego języka.

Znam przemiłe małżeństwo polsko-niemieckie. Marcus nie zna polskiego, więc z Mają rozmawiają po niemiecku. Ojciec z synami porozumiewa się wyłącznie w swoim języku, a Maja nie mówi do nich ani słowa po niemiecku. Uwielbiam obserwować tych chłopaków. Z niemieckiego na polski i odwrotnie przechodzą jak za naciśnięciem jakiegoś guzika. Tak samo na pewno będzie z dziećmi Leónów.

Trenerem nowych mistrzów Europy jest Serb Nikola Grbić. Dobrze zna nasz kraj, prowadził już drużynę ZAKSA Kędzierzyn-Koźle i wygrał z nią Ligę Mistrzów. Jako zawodnik reprezentował najpierw Jugosławię, a później Serbię i Czarnogórę. Z polskimi zawodnikami rozmawia po angielsku. Czy ktoś mu odmówi zasług dla naszego kraju tylko dlatego, że w sposób spokojny (co w tej dyscyplinie nie jest regułą) i po angielsku, czyli w międzynarodowym języku, potrafił poprowadzić biało-czerwonych zawodników do oszałamiających sukcesów? Dziś nikt. Ale już niedługo w kampanii wyborczej słowa „naród" i „narodowy" będą odmieniane przez wszystkie przypadki. Zwłaszcza po jednej stronie politycznego sporu.

Czas na Polki z Polski

Jeszcze nie zakończyli turnieju o mistrzostwo Europy siatkarze, a już siatkarki zaczęły grać o awans do igrzysk olimpijskich w Paryżu. Nie tak dawno nawet nie zwrócilibyśmy na to uwagi. Nasza reprezentacja siatkarek nie bardzo liczyła się w Europie, nie mówiąc już o świecie. Era „Złotek", drużyny, która dwukrotnie wygrywała mistrzostwo Europy, została tylko we wdzięcznej pamięci starszych sympatyków tego sportu. Od dwóch lat coś się zmieniło. W tym roku mocno odmłodzony przez nowego włoskiego szkoleniowca Stefana Lavariniego zespół zdobył brązowy medal Ligi Narodów. Z Polkami zaczęto się liczyć.

Turniej Polki zaczęły obiecująco od pewnego zwycięstwa 3:0 z reprezentacją Słowenii. W następnym meczu nie bez pewnych kłopotów pokonały Koreanki 3:1.

Co ciekawe, kłopoty pojawiły się, gdy trener Lavarini, wzorem kolegi prowadzącego złotą męską reprezentację, zaczął wprowadzać zmiany w składzie. Gdy Polki w czwartym secie zagrały najsilniejszą szóstką – ich rywalki przegrały do dziewięciu.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ:
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny,
Waldemar Kuchanny – redaktor naczelny,
Edyta Baker, Małgorzata Daniszewska, Idalia Dubicka, Bożena Dunat, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Michał Marszał, Marta Miecińska, Maciej Mikołajczyk, Łukasz Piotrowicz, Andrzej Sikorski, Agnieszka Wołk-Łaniewska, Marek Sanowski.
Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc (grafika, DTP).
WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.
ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68;
tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58.
DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38.

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa.
E-MAIL:
NIE@redakcja.nie.com.pl
Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.
DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Poczta Polska – prenumerata krajowa:
Infolinia 801-333-444, dla tel. komórkowych 438420600
www.prenumerata.poczta-polska.pl
„Ruch" S.A. – prenumerata krajowa:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7^{00}– 17^{00}. (koszt połączenia wg taryfy operatora).
prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę:
Informację o warunkach prenumeraty i sposobie zamawiania można uzyskać pod nr tel. +48 (22) 693 67 75
www.ruch.com.pl
e-mail: prenumerataz@ruch.com.pl
Telefoniczne Biuro Obsługi Klienta
(koszt połączenia wg taryfy operatora):
• połączenie z telefonów stacjonarnych 801 800 803
• połączenie z telefonów komórkowych +48 (22) 693 70 00
Dystrybutor: Kanada – Vartex Distributing Inc., 3135 Universal Dr. Unit # 3 Mississauga, Ont., L4X 2E6 Canada. Tel. (905) 624-4726.0
Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl
Numer zamknięto: **str. 1–16 – 20.09.2023 r.**

eprasa.pl ae127a61eb

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

– Tusk, Tuska, Tuskowi, Tuskiem, Tusku – mamrotała Elżbieta Witek, marszalica sejmu.

– Co ona robi? – zapytał Ryszard Terlecki, wicemarszałek sejmu.

– Przygotowuje się do kolejnego orędzia telewizyjnego – odpowiedział Mariusz Błaszczak, minister obrony, ściskając w ręku ściśle tajne plany obrony świętych polskich granic.

Głowę odwrócił Piotr Wawrzyk, były minister spraw zagranicznych. Z przegubów leciała mu krew.

– Nic dziwnego, że wyleciał z posady – skomentował Terlecki – jeśli nawet samobója strzelić nie potrafi…

– Ha, ha, ha – zaśmiał się Jarosław Szymczyk, komendant główny policji, bawiąc się granatnikiem.

– Ja bym potrafił – podniósł podbródek Jacek Sasin, minister aktywów państwowych. – Tylko ktoś by mi musiał zapłacić siedemdziesiąt milionów

– Ha, ha, ha – zaśmiał się Terlecki.

– Nie mam zasięgu! – zawołał Tomasz Poręba, eurodeputowany, wpatrując się w ekran smartfona.

– A po co ci zasięg? – spytał Sasin.

– Muszę zrobić przelew – odparł Poręba. – Mieszkanko w Chorwacji chciałbym kupić…

– Ha, ha, ha – zaśmiała się Witek.

– Ja żadnego mieszkania w Chorwacji nie mam – powiedział Zbigniew Rau, minister spraw zagranicznych. – Dlatego do dymisji nie podałem się, nie podaję się i podawać się zamiaru nie mam.

– A ja mam tyle mieszkań, że nie potrafię ich policzyć – pochwalił się Daniel Obajtek, prezes spółki akcyjnej Orlen.

– Zamknąć ryje i wiosłować! – zawołał po angielsku siedzący na dziobie Jamal, somalijski handlarz ludźmi.

Błaszczak odłożył plany obrony, a potem mocniej pociągnął wiosłem.

Omar, libijski handlarz ludźmi, wstał i przyłożył do oczu lornetkę.

– Widzę ląd! – zawołał.

– To musi być Lampedusa – domyśliła się Witek. – Wyspa, którą rządzi Tusk.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam w drodze do kościoła

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA niby pojechała do ZAiKS-u pisać książkę i patrzeć na morze, ale wybory ją dopadły. **GOŚKA DANISZEWSKA** nigdzie nie pojechała, więc wybory nie musiały daleko szukać.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Wołk-Łaniewska: – Posłuchaj: „Największe wyzwanie to dobrobyt ludzi pracy. Głównie chodzi o zysk z pracy, czyli oszczędności. Bo człowiek, który wszystko, co zarabia, wydaje na życie, nie zarabia nic, bo wszystko wydaje na koszty przetrwania. I tu jest kolizja z obcym kapitałem, który wszelkie nadwyżki ludzkiej pracy chce zebrać dla siebie jak tłuszcz na masło z mleka. W mojej opinii trzeba postawić dobro ludzi przed kapitałem”.

Daniszewska: – Rozumiem, że jesteś w okręgu, z którego kandyduje Ikonowicz…

– Nie do końca, bo Ikonowicz kandyduje z Gdyni, a ja jestem w Sopocie. Ale przecież to nie był Ikonowicz…

– Nie?

– To nawet nie w jego stylu. „W mojej opinii trzeba postawić dobro ludzi przed kapitałem”? Piotrek mówi: „Zjadać bogatych”!

– To cóż to za marksista, który nie jest Ikonowiczem?

– Stan Tymiński!

– Że kto?

– Kandydat na senatora w okręgu 71, Bytom-Zabrze…

– Ten Tymiński?

– Ten sam. Niedoszły prezydent RP Anno Domini 1990, pogromca Tadeusza Mazowieckiego z pierwszej tury. Teraz powraca w chwale, żeby zasiąść po prawicy marszałka Grodzkiego. I jeszcze powiedział w tym samym wywiadzie w „Myśli Polskiej”…

– Czytasz „Myśl Polską”?!?

– A jak! To bratnie onuce, choć z przeciwległych pozycji. Otóż Stan powiedział tam prosto i szczerze to, co ja sama myślę: „Ja nie widzę zagrożenia wojny ze strony Rosji, bo do czego jest im Polska potrzebna?”… To będą naprawdę dziwaczne wybory…

– Wiesz, że też miałam Tymińskiego w rodzinie?

– Brawo!

– Ale chyba z innych Tymińskich. Ojciec opowiadał, że dziadek był w Nowosybirsku tak cenionym lekarzem, że na pogrzebie wdzięczni pacjenci szli z czerwonymi sztandarami.

– Czyli jednak marksista…

– Było to jeszcze przed rewolucją. Dowiedziałam się, że pochodził z Łodzi. Według internetu na imię miał Iwan. Może mój Iwan wrócił do mnie jako pies? I dlatego tak mnie kocha. Dziadku!

– Hau, hau!

– Ale skoro już jesteśmy przy rodzinie, znowu będę ci gadała o przeszłości. Wiesz przecież, że ja jestem słoik. A właściwie czteropak słoikowy. Rodzę się w Poznaniu, potem Krosno Odrzańskie, potem Ząbkowice Śląskie.

– Frankenstein.

– Że jak?

– Tak się nazywały Ząbkowice za Niemca. Jak w 1945 r. specjalna komisja w trybie cokolwiek pospiesznym wymyślała polskie nazwy dla poniemieckich miejscowości, to czasem wykazywała się poczuciem humoru i właśnie mianem Frankenstein nazwała Ząbkowice Śląskie. Skojarzenie trochę nieprecyzyjne, bo Frankenstein stworzył potwora, a nie wampira, ale kierunek myślenia słuszny...

– Tak czy inaczej, moja pierwsza mała ojczyzna Ząbkowice to śliczne miejsce, kilka lat temu odwiedziłam je z głębokim wzruszeniem. Potem ojca wyjebali z wojska za – wstyd dzisiaj powiedzieć – złe pochodzenie, a ja dostałam żółtaczki.

– Ze zgryzoty?

– Chyba nie, miałam trzy lata. Dzięki żółtaczce trafiłam do babci w Białymstoku. Pierwsze wspomnienia: babcia ma kury, kury siedzą na jajkach, a tu przychodzi mróz. Spałaś kiedyś z kurczakami pod pierzyną?

– Z różnymi zwierzakami spałam, ale z kurczakami nie...

– Ciekawe przeżycie. Dla nich też: wszystkie przeżyły. Ale obesrały mnie od stóp do głów. Potem dojechali rodzice i siostra. Ojciec chytry w tym wojsku skończył studia. Zaczął ekonomię w Poznaniu, a potem w Lublinie poszedł na prawo. Bronek, mój ojciec, był właściwie abstynentem.

– Niepijący prawnik na Podlasiu? Jak on to przeżył?

– Twardy był. I przebiegły. Opowiadał, że zanim pojechał na egzamin, musiał swego dowódcę upić bimbrem buraczanym. Sam markował. Czy nie jest aby żołnierzem wyklętym?

– To zależy od jakości bimbru. Jak był podły, to dowódca mógł go wykląć.

– Od tego czasu Białystok to mój dom. Mój matecznik i babecznik. Czyli najważniejsze 15 lat mojego życia. To w Białymstoku zrobiłam podstawówkę i ogólniak. Właściwie większość tego, co wiem, jest stamtąd. Potem przez dekady dostawałam stamtąd słoiki z kiszoną kapustą czy pieczoną cielęciną. A teraz, Wołku, czuję odcinanie pępowiny. To nieco szczypie w pępku. Słoiki stoją grzecznie w spiżarni w Konstancinie. Już nie jeżdżą pomiędzy Białymstokiem a Warszawą przez Tłuszcz i Małkinię. Smutne puste słoiki.

– Jesień przyszła, będą nowe przetwory. Chcesz, przywiozę ci jakieś od siostry dochtórki?

– Przywieź, należy mi się jakiś białostocki przetwór.

– Na koniec muszę powiedzieć, choć wiem, że gówno cię to obchodzi: Ronnie wygrał Shanghai Masters. Po raz piąty! Miałam łzy w oczach.

– Ty jednak jesteś pojebana.

– Każdy potrzebuje miłości.

daniszewska@redakcja.nie.com.pl
awl@redakcja.nie.com.pl

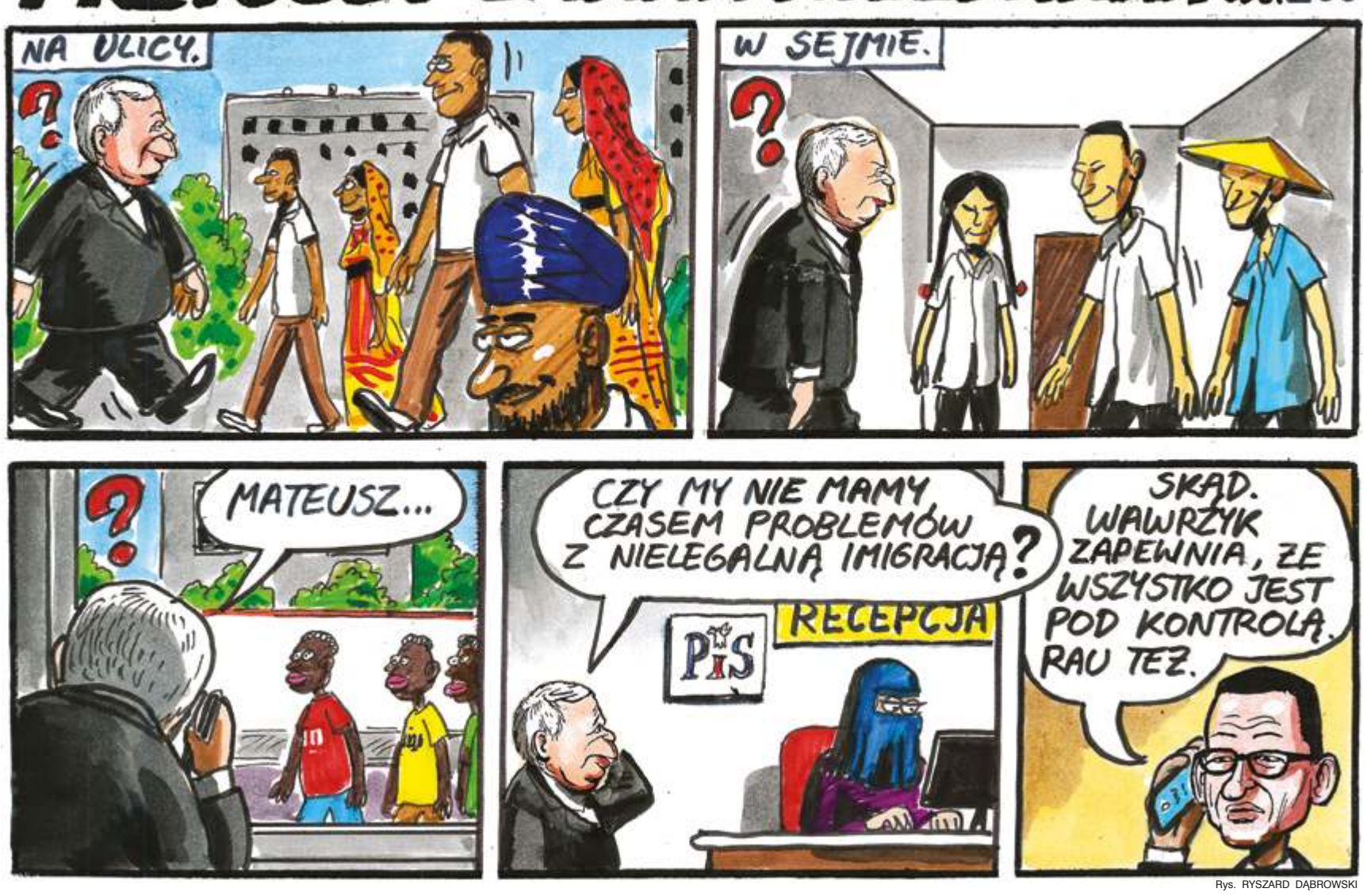

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl ae127a61eb